

Nr. 33. Kraków, styczeń 1911 r. Rok IV.

STRAŻ POLSKA

miesięcznik,

wspólny organ Towarzystw: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie.

Wydawca: **„Straż Polska“** w Krakowie. Redaktor: **Dr. Kazimierz Lubecki.**

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica Floryańska L. 1.**

Prenumerata rocznie 3 K; dla Członków »Straży« i »Ligi« 2 K (z przesyłką). — Numer pojedynczy 30 h.

Treść Nr. 33 Straży Polskiej.

HOŁD BOHATEROM 1863 R.

Godzi się przedewszystkiem uczcić to, co wielkie, a czego pamiątka nasuwa się nam obecnie. Styczeń przywodzi na myśl powstanie styczniowe. Przeminęło ono prawie w dziejach, nie przeminęło zaś wcale we wpływie na serca polskie i do wiecznego należy Ojczyzny skarbca.

Wielkorządca warszawski hr. Berg i tyran Litwy, osławiony Murawiew-Wieszatiel — napisali o naszem powstaniu styczniowem pamiętniki swoją wrogą i katowską ręką; a przecież nawet z pod takich piór wyszedł zarys jego historyi niezmiernie chlubny i zaszczytny, błyszczący brylantowo męczeństwem narodowem i bohaterstwem, którego greckie męztwo nie przewyższa. Pamiętniki te, żywe prawdą tych srogich świadków, żywe choć trochę prawdą, wnet uległy rosyjskiej konfiskacie, bo nawet takich pisarzy wspomnienie może się stać źródłem patryotyzmu polskiego. Drżał też przed owem powstaniem żelazny kanclerz Bismark i wszystkie rządy zaborcze tłumiły je, jako mocny ruch polskiej wolności i niepodległości.

Niepowodzenie powstania rozgoryczyło u nas wiele dusz, a wśród nich dawnych jego wielbicieli i uczestników. Ból to i pessymizm zrozumiały, bo tylko przewrotny nie uczułby wobec klęsk narodowych ciężkiego przygnębienia. Lecz ono nie usprawiedliwia obelg, rzucanych na ideę powstania, która była wzniosła i racyonalna; nie usprawiedliwia nieuckich lub oportunistycznych gromów, miotanych na głowy naszych bohaterów. Powstanie było przecież krwawym kwiatem dobrej i czystej woli polskiej, było pełne tak szczytnych poświęceń, że czytając ich opisy, doznajemy jakoby przerażenia...

Opowiadali je nam i opiewali Buszczyński i Bartoszewicz, Kraszewski i Rodziewiczówna, Asnyk i Urbański, pieśni ludowe i żyjący dotąd wśród nas powstańcy, ba! ów Berg i Murawiew — wszystko prawi o rzeczywistej wielkoduszności powstania, wszystko dlań budzi jak najgłębszą cześć.

Czyn powstania zrodził się z tychsamych pierwiastków, co romantyczna poezya nasza z trzema wieszczami na czele; w dziedzinie moralności narodowej ma ono tęsamą wartość, co ich arcydzieła w poezyi. Twórcom narodowych czynów, powstańcom naszym — hołd!

Matka, błogosławiąca swego syna-pieszczotę na śmiertelny bój; bohdanka, haftująca bojowy sztandar oblubieńcowi swemu; bogaty pan, czuwający na widecie o chłodzie i głodzie; ubogi ojciec, żegnający może na zawsze swe dzieci; młodzieniaszek-dziecię, dźwigający pożywienie za oddziałem powstańców; ksiądz, jadący na koniu, z krzyżem, jakby sztandarem, a za nim krucyata święta z okrzykiem „Jezus! Marya!“; arcyrabin warszawski, krzyż drogi ofiarujący „braciom“; mąż, pełen sił, słaby i chory w lochu cytadeli; kobieta, przykuta do taczek w kopalniach Uralu; sierotka, ciągnięta do prawosławnego zakładu; — to postaci wielkiego obrazu historycznego, którego data: 1863.

Pieśń patryotyczna, śpiewana przez tłumy w kościołach i na ulicach Warszawy; jęk umiera-

„NIECH ŻYJE!“

ZE ZBIORU OPOWIADAŃ p. t. „POD LIPĄ“ (KRAKÓW 1911).

Do Frankowskiego przyprowadzono jeńca, kozaka. Oczy miał pełne lęku i trwogi. Głowę pochylił, w wyrazie szpetnej i dzikiej twarzy był jakiś ból głęboki. Frankowski, wpatrzony w tę postać, litować się zaczął nad niewolą kozaka i pyta:

— Gdzieżeście go ujęli?...

— Ukryty był w załomie muru, śledził i podpatrywał nasze ruchy.

— Dwa dni był wśród nas?

— Dwa dni minęło od tej pory, gdyśmy Moskali z Kurowa wyprosili, on więc został umyślnie, aby szpiegować.

Młode, pogodne czoło Frankowskiego chmura przesłania.

— Czyż nic nad śmierć nie będę nieść? — pyta 20-letni młodzieniec..

A powstańcy wołają:

— Szpiegiem jest! skazać go!..

— Niema litości, gdy walka się rozpoczęła!...

— Ukarać go!... szpiegiem jest.

Kozak podniósł swe powieki i błagalnie patrzy w twarz młodzieńca. Kozak starym zdaje się człowiekiem, w długich latach służby carskiej poorało się jego czoło zmarszczkami, oczy wpadły w głąb, a ten wyraz twarzy dziwny, tajemniczy, ponury, zdaje się więcej ma smutku w sobie, jak winy.

Frankowskiemu serce pali się dziś olbrzymią miłością wolności. Dziś — on — zwycięzca... on, który z pierwszym oddziałem z Warszawy ruszył na walkę za „naszą wolność i waszą!..“ dziś — on, który ogłaszał manifest Rządu Narodowego i wzywał braci do świętej służby w obronie sprawiedliwości.. on dziś nie jest zdolny wydawać człowieka na śmierć

— Niech żyje!... — woła w młodej piersi bohatera zapał szlachetny.

— Niech żyje! — woła w młodem sercu głos miłości, która i nad czołem wroga chce zrobić znak przebaczenia

— Niech żyje!.. — szepce myśl, pełna nadziei i wiary, iż szczęście Polski rozkwitać zaczyna, iż przyszedł kres niedoli i pohańbienia, a wszystko w jasności, wolności odradzać się zacznie...

— Nie!.. nie!... nie mogę być srogim, nie mogę być surowym, jam dziś niezdolny do wyroku śmierci, puśćcie go, niech żyje!... niech żyje!...

Powstańcy więzy rozwiązali, odstąpili o parę kroków, kozak został sam — wolny.

— Jesteś wolny — mówi Frankowski — idź, a powiedz swoim towarzyszom broni, iż Polacy mają serca gorące, idź i powiedz, iż my krwi nie pragniemy, tylko chcemy, aby i naszej krwi nie rozlewano bezwinnie...

Kozakowi skry w oczach błysły — czoło sfałdowało się dziwnym wyrazem, nie wiedzieć, radości czy zdumienia...

Skłonił się nizko i odszedł.

A Frankowski szczęśliwy, rozpromieniony zwycięztwem dnia przedwczorajszego, jakoby usprawiedliwiając się przed towarzyszami, mówi:

— Nie mogłem uczynić, czegoście chcieli. Na jednego, bezbronnego człowieka wydawać wyrok śmierci, to rzecz okropna. Będę walczył, będę się bił do ostatniego tchnienia, ale z wolnymi oko w oko, pierś w pierś.. Pojmanego, jeńca bez broni... czy to katem jestem, abym na śmierć skazywał?

Wszedł tego samego dnia do Lubartowa, ogłosił Rząd Narodowy, miał już 800 zbrojnych ludzi pod swoimi rozkazami, więc pełen radości i wiary w przyszłość, wołał:

— Niech żyje wolny, szczęśliwy lud!...

Tak było dnia 25 stycznia 1863 roku.

— — — — — — — — — — —

W dwa tygodnie potem, 8-go lutego, rannego i pojmanego w polu bitwy pod Słuczą, kozacy wieźli bladego powstańca do Sandomierza.

Uradowani byli, iż przed jenerałem Chruszczewem pochwalą się zdobyczą...

— Wot Lach!... buntowszczyk!... — wyśpiewa on wszystko przed jenerałami, powstanie zgaśnie...

Lecz buntowszczyk blady i ranny nic nie mówi i darmo jenerał Chruszczew obiecuje wielkie nagrody, łaski, ordery, protekcyę. Darmo jenerał Chruszczew grozi wszelkiemi karami i więzieniem i Sybirem i — śmiercią...

Powstaniec milczy.

— Twoje nazwisko?

— Jakie mieliście plany?

— Kto wam dawał rozkazy?

— Którzy należą do organizacyi?

Milczenie.

Powstaniec chwieje się, sił nie ma, aby stać. Indagacya trwa długo.

jących w bitwie; skargi cierpiących w katorgach; obelgi, miotane przez małe dzieci na przechodzących Moskali; łkania osamotnionych za ukochanymi; ciche pacierze, proszące o wolność; milczenie po śmierci najdroższych poległych; — to rapsody z epopei, brzmiącej w r. 1863.

Woń dymów pożarnych, woń krwi przez bohaterów przelanej, podobna do zapachu ofiarnych kadzideł; goryez i słoność połykanych łez; gorąco zapału i miłości dla Ojczyzny; zimne trwogi pozostających o los tych, co poszli do powstania; ból ginących i osieroconych — to treść roku 1863.

Apoteozy godni są bohaterowie powstania styczniowego. Byli to ludzie wielkiej cnoty publicznej, którzy dla Ojczyzny wszystko prywatne poświęcali. Milsza im była Ojczyzna, niż kochanki i rodziny; droższą im była Polska nad całe własne mienie. Za Jej wolność skwapliwie ofiarowali swoją wolność, za Jej pokój swój osobisty spokój, za Jej życie swoje życie. Byli to ludzie wielce potężnego męztwa, wszystko ludzie serc chrobrych. Jednako waleczne biły serca w piersiach dorosłych mężczyzn, którzy wojen już zażyli, jak pod sutanną nieznających bitwy księży, pod mundurkami szkolnych żaków, pod stanikami cichych panienek. Razem gotowali oni niesłychaną wyprawę, wątłość środków, niedobór swej liczby, brak organizacyi udoskonalając odwagą, która ogniście rozbłyskiwała pod ciosami moskiewskimi. Byli to ludzie bardzo bystrej roztropności, mądrze wiedzący, że z duchowego przed rokiem sześćdziesiątym trzecim bezwładu koniecznie trzeba Polskę ocucić. Kiedy w owych czasach społeczeństwo nasze coraz bezmyślniej oddawało się zabawom i coraz mniej wśród tego niespokojne o los Ojczyzny, zapadać jęło w sen na łonie Rosyi — należało je zbudzić, za wszelką cenę zbudzić, chociażby bólem, byle tylko nie straciło samowiedzy, że ma dążyć do niepodległości. Ludzie szlachetnej cnoty, szalonej odwagi, jasnowidzącej mądrości!

Serce narodu polskiego, zbolałe niewolą, było jak czara goryczy. Dopełniły jej historyczne słowa cara Aleksandra II., wyrzeczone do powitalnej deputacyi polskiej w Warszawie: „Precz z marzeniami!“ Matka-Ojczyzna znieważoną została do ostatka w swych nigdy nieprzedawnionych prawach. Więc Naród, dobry syn, zerwał się gniewnie do Je obrony. I tak naturalnie, koniecznie być musiało. I tak wówczas odczuwano najpowszechniej. Dał temu śmiały wyraz ówczesny arcypasterz warszawski, ks. Feliński, pisząc w liście do cara wręcz: „Ucisk Narodu Polskiego doszedł do tego stopnia, że same poszczególne ustępstwa nie zdołają go usunąć: do tego trzeba niezależności zupełnej i całkowitej“.

Płomień miłości Ojczyzny rozniecił pożar wojny Od Krakowa do krańców Żmudzi rozlała się ta pożoga. Na polach nierównych bitew kładli się ochotnie poległem ciałem, jak „szczeble“ do wolności grodu. Żeby to w bitwach! Ale to baśni straszliwe się działy: Zygmunt Padlewski żywcem w wapnie pogrzebany, Szczur kijami w strzępy rozsiekan! Tak się kocha Ojczyznę! Ile krzyżów na cmentarzu, ile drzew w lesie, tyle w Polsce szubienic stanęło. Zadrgali na przechwalebnych szubienicach księża, jak Maćkiewicz, Brzoska, Konarski i dostojni członkowie Rządu Narodowego, Romuald Traugutt, Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jeziorański i bezimienne ofiary 30-go września, powieszone na placach Warszawy, ze społeczeństwa na wyrywki chwycone, jakby symboliczny podatek krwi, Ojczyźnie należny. Jak długotrwałe grzmoty, zahurkotał po całej Polsce suchy trząsk rozstrzelan. A celem tych kul byli kapłani, jak ks. Iszora, panowie, jak Leon hr. Plater, i robotnicy i uczniowie i wieśniacy, poprostu wszelki Polak, który Polakiem był nietylko z imienia! Idea miłości Ojczyzny działała, jak nieziemskie natchnienie. Powstanie styczniowe nie było działalnością stronnictw przewrotowych: przeciw tym pustym słowom świadczą wieloletniemi cierpieniami biskupi Feliński, Krasiński, Kaliński. Nie było ono ruchawką chłopską o uwłaszczenie: przeczy temu śmierć walecznа Juliuszów Tarnowskich, Mycielskich. Nie była to młodzieńcza rycerskość szlachecka: woła przeciw temu krew robotnika Brendla, krew Kleta Kurewy, włościanina. Powstanie styczniowe było dorobkiem całego narodu, sprawą najlepszych w narodzie.

Uwielbienie nasze zwraca się ku bohaterstwu powstańców, które spowszedniałym umysłom wydaje się czemś nadludzkiem. Jednak to bohaterstwo wybuchało z twardej opoki rozsądku. Oni nietylko byli „rozumni szałem“; byli rozumni i rozumem. Taktyka ich wojenna nie była nierozważna, była tylko wysoce śmiała. Zachłanny smok moskiewski jeszcze się nie wylizał z ran, odniesionych w wojnie krymskiej Różnica broni nie była tak olbrzymia, jakby to było w dzisiejszych czasach. Nie znano szybkostrzelnych dział i karabinów, ani zabójczych wynalazków ostatnich dziesięcioleci. Przez kilka lat nie wolno było Rosyi zaciągać do wojska polskiej młodzieży. Wobec tego z jednej strony znajdowało się w Polsce wyjątkowe mnóstwo ludzi młodych, zdolnych do broni, a w następstwie tego armia moskiewska była uszczuplona z drugiej strony nie zachodziło niebezpieczeń[illegible], że powstańcy strzelać będą musieli do rodaków, gdyż ci nie służyli wówczas w wojsku rosyjskiem. Opinia, która nie jest mało znaczącym czynnikiem, była po stronie polskiej. Papież Pius IX. zarządził uroczyste procesye na intencyę powodzenia Polski; Napoleon III. jawnie okazywał sympatye dla ruchu powstańczego, a przyjazna naonczas Francya nawet daninę swej krwi składała idei polskiej w powstańczych oddziałach; Anglia wysłała już dyplomatyczną notę do Rosyi, żądając ustępstw na rzecz wolności Polski (notę ową cofnięto z drogi wskutek intryg Bismarka). W każdym razie, pomijając nawet ideowe, a zasadnicze względy, miało powstanie racyę bytu i miało szanse materyalnego powodzenia. Powstańcy mieli nietylko serca prawe i dla Ojczyzny gorące, ale i roztropną słuszność na całej linii.

Męczeństwo styczniowego powstania trwa dotychczas w tragicznym swym realizmie: nietylko, jako czcigodna i świeża tradycya, nietylko, jako naocznych widzów opowieści, lecz jako żywe cierpienie starców w ciężkich robotach, patryotów na obczyznę wygnanych, nędzarzy, co majątki w powstaniu stracili, dzieci polskich, zmoskwiczonych w rządowych internatach, kości skazańców wywleczonych z własnych grobów a grzebanych sposobem haniebnym. Ten ból Ojczyzny i te przykłady powstańców wielce nas obowiązują. Obowiązują do czynnej miłości Ojczyzny. Krew ojców naszych spada na głowy nasze narodowym chrztem...

Dr. Kazimierz Lubecki.

Z „MIATIEŻY“ AURELEGO URBAŃSKIEGO.

„OJCIEC“ ROCH.

Był braciszek, radli mistrz w klasztorze,
Gruby, spasły, jowialny wieczyście.
　W zieleń groby zdobił Boże,
　Kalikował organiście:
Codzień z tuzin zatabaczał chust:
Tłustą łapę kmiotkom pchał do ust,
　Gdy skarbonką brząkał po babińcu.

A łaciny pod korzec nie chował,
Pater-noster liznąwszy z brewiarza.
　Gwardjan mniej tam imponował
　Od brzuchala-kanafarza.
Antyfony piał — i spijał miód:
Żywot zresztą bogobojny wiódł:
　Moskal, zasię, był mu — „*diabolus*“.

Toż gdy Kuba wpadł, jak rak czerwony:
„Nasi idą! Nasi! O la Boga!“
　Z wieży gdy huknęły dzwony,
　Misy odbiegł i pierog[illegible]
I, co żywo — sapiąc uszedł [illegible].
„*Sanctus Rochus* gromem by mnie trzasł.
　Gdybym z kopę nie zmiótł [illegible]kinsynów!“

Ha, no — chadza z powstańcami — chadza,
Gruby, spasły, jowialny rubacha.
　Co mu tam klasztorna władza!
　Mruczy jeno — ręką macha:
„Nam nowalją — kapuściany liść;
Patres — twardą mogą pieczeń gryść.
　Lew — krwi łaknie, *quaerens, quem devoret*“.

W tem wchodzi kozak, dziwnie stary, cichy, smutny kozak. Spojrzał na jeńca i woła:

— Frankowski!

— Co mówisz? Frankowski? — z radością namiętną przypada Chruszczew — to ty bohaterze, to ty wojowniku!.. Teraz z sobą pogadamy, teraz ty nam zaśpiewasz!...

Ale Frankowski zemdlony pada i nie słyszy wyrazów radości, iż w ręku jenerała taki ważny „buntowszczyk“ znajduje się.

Powstaniec jest bardzo chory. Zachodzi obawa o jego życie. A jenerałowi Chruszczewowi zależy na tem najwięcej, ażeby Frankowski żył.

— Niech żyje!... — mówi Chruszczew do lekarza — rób wszystko, ażeby żył.

— Niech żyje!... bo to członek organizacyi wielkiej, bo on nam wskaże najważniejsze osoby, bo my przez niego dojdziemy do orderów, gdy stłumimy bunt cały.

— Niech żyje!... — woła, nienawiść i złość wroga Polski.

— Niech żyje! — szepce chciwość i samolubstwo nikczemne.

I przez cztery miesiące żyje młody Frankowski, a żyje wśród tortur i cierpień bezgranicznych.

Najpierw chciano go zyskać łagodnością. Jenerał Chruszczew, nawet w mieszkaniu swojem przeznaczył pokój dla rannego, ażeby zyskać przychylność.

Lecz Frankowski na pytania nie odpowiadał. Więc przeniesiono go do najgorszej, ciemnej, cuchnącej celi.

Nie odpowiadał.
Zaczęto bić i katować gojące się rany.
Zaczęto głodzić i grozić śmiercią.
Ogłoszono wreszcie wyrok śmierci.

Nie dozwolono obaczyć się z matką, która ostatniego syna już miała w pętach moskiewskich.

Wszystko to nie wywołało słowa skargi, ani słowa zeznania nie wydobyło z ust młodzieńca.

Dnia 16-go czerwca 1863 roku powieszono go w Lublinie.

A ostatnie słowa jego były:
— Niech żyje Polska!...

— — — — — — — — — — — —

On, który hasło życia miał zawsze na ustach, on, który kozakowi-szpiegowi wolność dał w imię miłości braterskiej, on, który pragnął dać wolne i szczęśliwe życie Ojczyźnie, tak jednak rychło i prędko poszedł w mogilną noc i ciszę.

— Niech żyje!... — wołała sprawiedliwość i wykazywała, iż bohater ten żadną przewiną na śmierć nie zasłużył, a jednak życia nić przecięto.

— Niech żyje!... — mówiło sumienie, a jednak z wykonaniem wyroku spieszono się.

— Niech żyje więc pamięć o Bohaterach z dni wielkich ofiar i niech wskazuje nam dziś, w czem szukać sił do życia narodu.

Jadwiga Strokowa (z Łobzowa.)

DWOREK POD LASEM.

EPIZOD Z CZASÓW POWSTANIA 1863 R. W JEDNEJ ODSŁONIE.

SCENA ÓSMA.

Wanda, Marya, Anna, Helena, Sara, Kasia, Nardjew i Abazali.

Nardjew. *Porucznik kozacki, młody, pretensyonalny i przesadny, któremu się zdaje, że jest dowcipny i elegancki. Wchodzi z fantazyą, kłania się zamaszyście paniom i mówi).* Wstąpiliśmy tutaj, aby się pokrzepić, aby nabrać sił. Prosimy więc o gościnę.

Abazali. *(Młody porucznik, ale brzydki, z twarzą pijacką).* O krótką gościnę..

Nardjew. Nam dużo nie potrzeba.. My wajennych dzieci... Ot, trochę „czaju“... „stakan“ wódki.. kisły ogórec i dobre słowo... Ha? Sasza!

Abazali. No tak... no tak,... koniecznie i dobre słowo.

Wanda. Kasiu.. podaj tym panom wódkę i przekąskę..

Nardjew. Kasiu.. Kasiu? Ot ładne imię.

Abazali. Krasna djewoczka.. Gładka buzia... ładne imię.. wesołe „głazki“.. Musi być i dobre serce... ha? Takie serduszko... ha? Takie poczciwe serduszeczko.. ha?

(Kasia zawstydzona odwraca się).

Nardjew. Prędko Kasiu.. bo nam pilno!

Abazali. No tak... no tak... *(zacierając ręce).* Prędko Kasiu... Prędko Kasiu, bośmy głodni... *(śmieje się do niej).*

Sroga klęska pod Staszowem, sroga.
Garstka młodzi cofa się w nieładzie.
Przemoc ją napiera wroga,
Chłopców, jak pokosem, kładzie.
Bieżąc — żegna trupy „Ojciec“ Roch;
Z małych ślepiąt łzy kapią, jak groch:
„Requiescant, parvuli, in pace ...

Jedna tylko wolna już drożyna,
Przez rzeczułkę, gąszczem — hen — przez mostek.
Ścieżka w las się stromo wspina;
Napad wstrzyma, ot, wyrostek.
Cyt!... pod belką kucnie łyczak ów —
I z za krzaków palić będzie z luf...
Tamci — ujdą; ten, pod mostkiem — zginie.

„Surge puer!“... Wlezę ja w te krzaki;
A dwururek cisnąć mi tu kilka.
„Milczeć. Słuchać. Marsz, pędraki!“
Poszli... Westchnął... Krótka chwilka,
A w wądole mrowie. Gwar i ruch.
Z różka tedy spory zażył niuch —
Czeka — mierzy — *łup! łup!* — jak do kaczek.

Dwa już trupy... Zmięsza się kohorta.
Kulek celność carskie jegry zmiata.
Łup! hrym! — Znów dwu... *Hrym!* — Do czorta...
Stój!... Zasadzka. W tył, *rebiata!*
Ha, no — palba. Drzazgi — trzask — i dym.
Roch, pod mostkiem, pacierz klepie — *hrym*! —
A co kropnie — zażyje tabaki.

Znów uderzą... Brzmi z pod mostka, w skrusze,
Psalm konania — lufa się wychyla.
Łup! — „Przyjm Panie, moją duszę...
Dies irae — dies illa“...
Most zdobyty. Moskwy wtarga wał.
Jeszcze nabój... *Hrym!* — Ostatni strzał —
„De profundis clamavi“... i skonał.

KOLIBRI.

Bledziutki, wątły, płowe włoski miał,
Z fresk *Giordana* ni to Cherubinek.
Z wygódek miękkich, na swym kucu w cwał,
Do twardej służby mamin uszedł synek.

Gdy go wykryto, do nóg matce padł
I przysiąg miotał przestrogi złowieszcze.
Został — i bagnet ciężki włóczył rad,
Rad i karabin włóczył, cięższy jeszcze.

W *ibramowickim* borze czernic w pas;
Gdy głodu wąż ssie, pragnienia żar pali,
Toż — manna!... Użyj, powstańcze, choć raz,
I spocznij. Ślad gdzieś zaginął Moskali.

Użyj, *„Kolibri“*, rzeźki ptaszku nasz!
Spieczone twe nam wargi nie szczebiocą ..
Łakoci niema puzder, wina flasz,
I „mamy“ niema... Dniem — skwary; mróz — nocą.

Buszują chłopcy. Na polany róg
Wypadł *„Kolibri“* i w czarnej powodzi
Palce zatapia, usta, twarz. Jak żuk,
W zaroślach szpera i w borówkach brodzi.

Wtem jeden zagrzmi, drugi, trzeci strzał,
I Finlandczyków garną się flankierzy.
Spojrzał — i machnął ręką. Wal mu z dział;
On się w jagodach pławi — w śmierć nie wierzy.

Skowyczy trąbka. . Ten i ów już padł...
Spłoszona Wiara w boru skacze gąszcze.
Uchodź *„Kolibri“*!... Kulek gwiżdże grad!...
Nie słucha. W chwastach pełza, jak chrabąszcze.

Ot, co to przykład!... W piersi wstąpił duch;
Z okrzykiem: „Naprzód!“ w lot drużyna wraca
I jak grom spada. — Moskal, rozbit w puch,
Podaje tył. Hej, krwawa była praca!...

A on?... Z czerniutkim pyszczkiem diablik ów
Zadyszan, ziapiąc, z drgającemi fibry,
Z płonącem okiem — przez krze, zręby, rów,
Jak zemsty widmo, pomyka *„Kolibri“*.

Cięży mu sztuciec; lecz on w wroga trop,
„Hura!“ co żywo — przez las, pola wygon;
A przed nim *jegier* sadzi, srogi chłop,
Barczysty, rosły — Cyklopów epigon.

Umyka olbrzym; skoki zdwaja strach;
I ściga karlik, rozsrożon, jak burza.
Dopadnie... zda się, zmiażdży go!... Lecz — ach!
Sił już ubywa. . Odstęp się przydłuża...

Ha! Rozpacz... furja... Wróg mu ujdzie wnet...
Więc, jak oszczepem, karabinem ciska.
I furknął bagnet — w chłopa wszył się grzbiet —
I piersią krwawa wyszła stal i śliska...

Padł Cyklop. Z piersi bagnet sterczy w słup,
Aż po rękojeść wbit brzemieniem cielska.
Zadrżał *„Kolibri“* — klęknął u *jegra* stóp —
I z rzęs mu łezka trysnęła anielska...

Dźwignie się olbrzym, charcząc... Krwi mu strzęp
Dech zaparł... Czarna zapieni się plama...
Wtem chłopca w szpony pochwyci, jak sęp —
Za gardziel ściśnie... zdławi...
Biedna „mama!...“

Dulce et decorum est pro patria mori
(Słodko i zaszczytnie jest za ojczyznę umierać.)
Przysłowie klasyczne.

EPIZODY WOJENNE.

(Z notatek Waler. Wolskiego, uczestnika powstania 1863/4 r.).

Po bitwie pod Małogoszczą zchorowany udałem się na kilkutygodniowy wypoczynek do stryja w Belnie.

Komendant oddziału kawaleryi, Nowak, sam mię przynaglił do wzięcia urlopu, bo istotnie z nóg się waliłem, prawie oślepłem od gorącego dymu bojowego.

Lecz nie dotrzymałem końca. Bo myśmy wtedy nie targowali się o zdrowie, ni krew, ni życie. Honor Ojczyzny świętej nie przelewał się wprawdzie w naszych ustach potokami trunków szlachetnych przy hałasie szumnych toastów patryotycznych. Ale nikt z nas tem się nie chlubił; robiliśmy wszyscy to, co uważaliśmy wtedy i dziś uważamy za prosty obowiązek.

Dowiedziawszy się od gajowego, że w sąsiedniej wsi Słupi organizuje oddział konny Antoni Wielobycki, wymknąłem się już po kilku dniach cichaczem z pod ciepłej pierzyny rodzinnej. Broń, zawczasu przez wiernego Jaśka w stajni ukrytą, zabrałem, dosiadając Deresza o północy za opłotkiem dworu

Ze Słupi pomknęliśmy wnet w 30 koni do obozu powstańczego półbożka, pułkownika Dyonizego Czachowskiego. Sławny to był wódz, prawdziwy bicz Boży dla zgrai moskiewskiej, ale i dla swoich, a zwłaszcza dla niewieściuchów i zdrajców, surowy i nieubłagany. Za to miękki i wylany dla zuchów. Wymagał od drugich wszystkiego dla świętej sprawy. I miał prawo do tego, bo sam złożył na ołtarzu Ojczyzny wszystko co posiadał, majątek, dwóch synów i... życie...

Przyjął nas z radością. Z Moskalami nie było wówczas żartów. Rwali i gonili nas z miejsca na miejsce. Już nieraz zdawało się, że nas rozbito. Moskale tryumfowali; — gdy wtem zjawia się oddział Czachowskiego, tego partyzanta nad partyzantami, w innem miejscu, w bojowym ordynku i wzmocniony posiłkami wpada na struchlałe szeregi rosyjskie i w puch je rozbiwszy, znów znika.

Ten sposób walki strachem panicznym ogarniał Moskali, a na sam dźwięk imienia Czachowskiego żegnali się krzyżem i spluwali, jak na siłę nieczystą. Zabobonna wiara w nadprzyrodzoną moc powstańców demoralizowała sałdatów i oficerów moskiewskich.

Sami to otwarcie przyznawali. Gdy raz konwojowałem dwóch jeńców moskiewskich po ostatniej utarczce, do miasteczka Grabowca, gdzie zamierzaliśmy użyć nieco wywczasu, jeden z nich w taki obrazowy sposób tłumaczył towarzyszowi, co to jest powstaniec:

— Czy ty panimajesz, czto je to buntowszczyk? Woźmi w ruku hawno*) — pasmatryt'**) jest

*) hawno, ekskrementa bydlęce.
**) pasmatryt', popatrz

(*Kasia wychodzi*).

Nardjew (*do Wandy z galanteryą*). A teraz wypada nam się przedstawić. (*do Abazalego*). Ot co, ja przedstawię ciebie, a ty przedstawisz mnie... Ha? Sasza?

Abazali. Haraszo!

Nardjew (*do Wandy*). Imieju cześć przedstawić mego towarzysza: Aleksander Michajłowicz Abazali. Dobry żołnierz, dobry kolega... ale okrutny bałamut. Giną za nim kobiety młode i stare... Piękne, przystojne i brzydkie! No... Sasza!

Abazali. Imieju cześć przedstawić mego towarzysza: Iwan Gregorowicz Nardjew. Jest on postrachem buntowszczyków. Gdzie on się pokaże, buntowszczyki w nogi!... Na łeb uciekają.

Nardjew. Ot... pokpiłeś sprawę Sasza!... O buntowszczykach nie mówi się w polskim domu, a tembardziej do Polki...

Abazali (*z zajadłością*). Niczewo!.. Czort waźmi buntowszczyków! W Sibir ich!... Pod knuty ich... Na szubienice wsiech!...

Nardjew (*do Wandy*). Ale tu niema powstańców?

Wanda. Niema...

Nardjew. No tak... Ja był pewny!... Ale gdyby „powstańce“ byli, to... I... i... ha... ha.. Ja bym im dał!

Helena (*do Sary*) Niedobrze mi!

Sara. Niech panienka stanie przy oknie.

(*Helena idzie do okna i staje w niem*).

Nardjew (*z uprzejmością*). Czemuż panie nie siadają? Proszu... proszu... bo nam usiąść nie wypada, skoro panie stoją..

Wanda. Pójdę.. ażeby panom dano przekąskę...

Nardjew. A nie.. Pardon.. na to nie pozwolę. — Na to pozwolić nie mogę, aby się pani dla nas fatygowała..

Abazali (*wesoło*). Albo jeżeli już koniecznie, to pójdziemy razem. Ot tak.. Oboje... we dwoje...

Nardjew. Ej.. ty Sasza!.. tolko nie tak obcesowo.. (*śmieje się*) „Oboje... we dwoje“. Maładjec! cha, cha, cha!

Abazali (*śmieje się przeraźliwie głośnym śmiechem*). Chy, chy, chy!

Nardjew. Z Polkami trzeba grzecznie i delikatnie...

Abazali. Niet.. z Polkami właśnie trzeba krótko.. głośno i surowo... (*ściskając pięści*) ot tak!

Nardjew. Ja znaju... ja znaju! . Ja Polki lubię... i Moskiewki lubię!.. Ja nawet Jewrejki lubię... Ja wszystkie kobiety lubię... Ja się już kochał w kilku Polkach. Były takie... co to jak mnie tylko zobaczyły... to zaraz płakały... Ach ja okropnie lubię, jak Polki płaczut — Niektóre są miękkie, alę niektóre z nich... jak kamień „twarde“. Nie chcą płakać! — Trzeba je dopiero raz... drugi... i trzeci..., ot tak!... (*pokazuje uderzenie w twarz*) wtedy płaczą... a ja się wtedy śmieję! Ot, ruskij czałowiek! Taka już moja natura!... Ha?... Sasza?...

Abazali. Tak.. tak... i moja taka natura, szerokaja natura!

Helena (*do Sary*) Oj Saro, moja Saro... ja zemdleję...

Sara. Panienko, do góry głowa!

Helena (*opiera głowę o okno*). Wody... (*Sara idzie do stolika, nalewa w szklankę wody i podaje Helenie, ta pije*).

Abazali. A cóż Służanka? (*bije szablą o podłogę*). Hej!... Służanka... padawaj!...

(*Helena wzdryga się przerażona. — Sara bierze jej rękę i trzyma w swoich*).

Nardjew (*krzycząc*). Kasiu!... Kasiu!... Padawaj!

(*Helena obejmuje Sarę za szyję i tuli głowę na jej piersiach*)

(*Kasia wchodzi z tacą, na której stoi karafka wódki, chleb, itd. W milczeniu stawia tacę na stole*).

Abazali (*obejmuje ją przez pół*). Ech ty... Kasiu...

Kasia. No!... Czego pan chce? Odejdź pan! (*odtrąca go łokciem*).

Abazali (*biorąc ją za kark, popycha silnie na pokój*). Ot tobie.. czego ja chcę!

(*Kasia pchnięta, zatoczyła się kilka kroków i pada w objęcia Wandy*).

Wanda. Alеż to okropne... karczemne... ordynarne!

Nardjew (*śmieje się*) Cha... cha.. cha!... Kasiu.. Kasiu..

Abazali (*grozi jej pięścią*). Ach ty... skotina!

Nardjew. Czort waźmi... Hej Sasza, wódka! Ha?

Abazali. Pijom!.. (*śmieje się przeraźliwym śmiechem*) Chy, chy, chy..

(*Helena drgnęła, opuściła Sarę i siadła przy oknie na krześle. — Nardjew z Abazalim piją i siadają do jedzenia*).

množko; stisnij ruku a pasmatryt' —, nema niczewo. A pasmatryt' na zemlu, a tam jest znowu mnożko.

I tak nas istotnie prowadził pułkownik Czachowski. Znikaliśmy w jednem miejscu niby to rozbici, a zjawiali się kupą w drugiem.

W Grabowcu nie zaznaliśmy spokoju. Zaledwie roztasowaliśmy się obozem, a żołnierz głodny i znużony z bronią przy boku nawpół senny wzrok zwracał z niekłamaną tęsknotą do gorącej strawy w dymiących nad ogniem kociołkach, gdy wtem nadbiega goniec od straży z doniesieniem, że silny oddział moskiewski zjawił się kilka staj za miasteczkiem.

Można było przyjąć korzystnie bitwę i w miasteczku, ale rozkaz pułkownika wypędził nas w lasy. Niedowarzone jadło trzeba było z żalem porzucić.

Generał rosyjski Czengiery wydał bowiem ukaz, że każda wieś i każde miasteczko, w którem stawią zbrojny opór powstańcy, padnie pastwą płomieni. Musieliśmy więc miasto salwować przed barbarzyństwem dziczy.

Obok wioski Rzeczniowa przyjął Czachowski utarczkę, która wnet się zakończyła rozgromieniem nieprzyjaciela.

Tu po raz pierwszy w życiu miałem sposobność dokładnie się przyjrzeć, jak straszną bronią była kosa.

Stałem z oddziałem kawaleryi pod lasem, do którego biegła przez łączkę drożyna. Gdy pierwsze kule moskiewskie zaświstały nad szeregami opodal stojących kosynierów, nagle wyrywa się z pomiędzy nich świeżo przed kilku dniami przybyły do obozu parobczak, Bartek z Końskich i duchem pędzi do lasu. Obok mnie stojący Gabryel Lipski spostrzega to i mówi: Patrz, co ten waryat robi!?

Później się pokazało, że Bartek nie był waryatem, ale z przestrachu, wobec nowego dla siebie poświstu kul, szukał w ucieczce ratunku.

Lecz nietylko Zagłoba został z tchórza bohaterem pod Konstantynowem. I nasz Bartek umiał się stać bohaterem z... konieczności.

Już, już dobiegał do lasu, gdy wtem z pomiędzy drzew wypada dragon rosyjski na koniu i sadzi prosto na naszego uciekiniera. Bartek usłyszawszy tentent konia, odwraca się i staje jak wryty. Dragon przysadza się do niego, chcąc go wziąć żywcem.

Aha! Nie tak to łatwo! W mazurze polska krew zakipiała; jak nie splunie w obie dłonie, jak nie chwyci kosę oburącz — chlust dragona po karku — a głowa wraz z prawem ramieniem i częścią płuc przewiesiesiła się przez plecy, odsłaniając potworny kadłub.

Straszne to było cięcie kosy, ale groźniejsze jeszcze widziałem później pod Stefankowem.

Bartek-zwycięzca, z tchórza bohater, wrócił pełen dumy z koniem i rynsztunkiem do szeregów i odtąd wsławił się między kosynierami niesłychaną brawurą w każdem spotkaniu.

A mieliśmy potyczek sporo. Aż nareszcie udało się Czachowskiemu uśpić czujność szpiegów moskiewskich, że zdobył dla swego znużonego oddziału kilkudniowy dobrze zasłużony wypoczynek w lesie, zwanym Piekło, na drodze z Kielc do Końskich.

Ztamtąd ruszyliśmy na pełną chwały walkę do lasu w Stefankowie. A to tak było.

Obok nas w lasach Niekłańskich zgromadziły się, pod komendą Czachowskiego walczące, oddziały Kononowicza, Wiśniewskiego i Stamirowskiego.

Po forsownych marszach i ciągłych utarczkach należał się nareszcie i nam i zbiedzonym koniskom wypoczynek. Lecz nie trwał on długo

Czachowski nie lubiał zalegiwać pola. Rozumiał, że przewaga nasza w tem, by rwać Moskala, gdzie się tylko nadarzy okazya.

A wnet się nadarzyła.

Trzeciego dnia postoju zawitał do obozu żyd z Końskich z zapasem chleba, wódki i przysmaków. Toż-to dopiero była uciecha! W mig rozkupiło bractwo wiktuały. Działo się to na majdanie tuż przed szałasem pułkownika. Wtem podchodzi jego adjutant i zręcznie wypytuje żydka, kędy mu droga. Ten odpowiada, że do Kielc. Na to wybiega za chwilę Czachowski z szałasu i do żyda:

— A kłaniaj się tam Nikiforowi i powiedz, że jutro w Końskich sprawię łaźnię jego rebiatom. Zwracając się zaś do nas powiada:

— No, chłopcy — dosyć mazgajstwa — zwijać obóz!

Ledwieśmy ochłonęli z podziwu, nie rozumiejąc co to znaczy, a tu już rozbiegły się ordynanse z rozkazami do innych oddziałów. Żyd się ulotnił jak kamfora.

Było to dnia 22. kwietnia 1863 r. w południe.

Następnego dnia dopiero dowiedzieliśmy się, jakiego to figla spłatał nasz zuch pułkownik temu obwiesiowi Nikiforowi. Ten dziki zwierz azyatycki — nie człowiek — zbójeckim moderunkiem ścinał i palił, co mu jeno pod rękę popadło. Jego banda gwałciła niewiasty, a potem je mordowała, wprzód szpetnie kalecząc. Pastwiono się nad starcami, niemowlęta wbijano na bagnety. Grozę siał, jak byk, rozszalały krwią i gorzałą — i jak oślepły z wściekłości byk wpadł... w pułapkę.

Nemezis sprawiedliwy nad nim uczyniła sąd. Lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Tuż za żydem wysłał Czachowski ku Kielcom szpiegów na zwiady. Ci nad wieczorem donieśli, że Nikiforow wyrusza z całą załogą do Końskich na odsiecz.

Czachowski tego tylko pragnął

Bo on umyślnie symulował napad na Końskie na to, aby wywabić w zasadzkę Nikiforowa.

Byliśmy przeważnie licho uzbrojeni. Przeto nie wszyscyśmy wyruszyli na wyprawę. Co lepiej uzbrojone, poszło na ochotnika. Więc Łopacki z oddziałem piechoty, kosynierzy z Konstantym Olszewskim, kawalerya Bertolego i Stamirowskiego, a wreszcie Antoni Wielobycki z oddziałem konnicy, w którym znajdowali się obok mnie Bolesław Turski, Wojciech Turski, Adolf Czachowski, syn pułkownika, Edward Webersfeld i Gabryel Lipski. Innych już nie pamiętam.

W nocy z 22. na 23. kwietnia ruszyliśmy różnemi drogami. Punkt zborny oznaczono w lesie pod Stefankowem. Tamtędy bowiem musiał przechodzić Nikiforów i tam mieliśmy mu wydać bitwę.

O świcie stanęliśmy w lesie na drodze, która bieży głębokim parowem obok rzeczułki. Sama tylko kawalerya.

Las był bardzo gęsto podszyty, tak że przejrzeć go było bardzo trudno. Od wschodu zaróżowiło się wiosenne słońce, a nam w serca wstąpiła jakaś jasność i otucha, że dziś dokonamy dużych czynów.

Nie baczyliśmy, że nas niewielka jeno garstka, bo prócz kawaleryi tylko piechota ukazała się tuż za nami. O kosynierach ani słychu Pewnie drogę zgubili. Ale pod Czachowskim nigdyśmy sił nie rachowali. Hasło „Bóg i Ojczyzna" potrajało nas w potrzebie.

Staliśmy tak uformowani w czwórki może godzinę — może dwie. W tem dziwne szmery rozbiegły się po lesie. Niby jakieś dzwonienie, brzęk cichy, stłumiony. Szło to obok nas niewidzialne, ku górze, hen, ku spodziewanemu wrogowi.

— Potem wszystko ucichło.

Wtem staje przed nami, jak duch z pod ziemi wyrosły, Czachowski, szepcze kilka słów Dobrogojskiemu (słynnemu „Grzmotowi"), któremu jako byłemu kapitanowi rosyjskiemu, zdał komendę nad całą kawaleryą, a sam cofa się ku tyłowi i obejmuje dowództwo piechoty.

Zabrzmiała krótka komenda Dobrogojskiego: „Kawalerya naprzód!" i ruszyliśmy truchtem.

Stanęliśmy za chwilę u wejścia na dużą polanę i wstrzymaliśmy konie. Ku nam szły szeregi piechoty moskiewskiej.

Rozkaz nasz brzmiał:

— Stać!

Za nami formowała się piechota polska.

Moskale widząc, że to tylko sama kawalerya, wstrzymali pochód i patrzeli na nas zdziwieni niespodzianką. Wszak mieli nas szukać dopiero w Końskiem, o sześć mil dalej.

Widząc, że chodzi o zyskanie czasu dla piechoty, wysunął się na czoło kolumny nasz zuch Stamirowski. A że to był figlarz i istny ekwilibrysta, więc zaczął hece wyprawiać, żonglerskie skoki, a przytem wyzywać sałdatów. Szerokie pyski azyatyckie już zaczęły się wykrzywiać uśmiechem, gdy Czachowski nas dopada i woła:

— Kawalerya na prawo i lewo w las! — Piechota naprzód!

Zrobiło się piekło odrazu. Moskale dali salwę. Stamirowskiego raniono. Wskakując w gąszcze leśne dopiero teraz zrozumieliśmy, co znaczyły brzęki dziwne o świcie. Oto za każdym krzakiem dokoła polany tkwił ukryty kosynier.

Rozpoczęła się nie bitwa, lecz rzeź.

Równocześnie z piechotą naszą, zjawiły się przed przerażonym wzrokiem Moskwy dziwy leśne z kosami.

Mistrzowsko skombinowany atak, skłębił w mgnieniu oka przeważające siły moskiewskie w jedno bezładne kotłowisko. Nie mogli użyć broni. Kosy straszne w krzepkich mazurskich rękach, roz-

---

Nardjew. No, ale dlaczegoż panie nie siadają? (*Wszystkie siadają zdaleka*).

Abazali. Nie... Nie tam, ale tu, z nami.

Nardjew (*z umizgiem*). Nie smakowałoby nam jadło, gdyby panie nie jadły.

Wanda. Nie jesteśmy głodne.

Nardjew. Nie?... No... tak nie!... (*jedzą i piją*).

Abazali. (*mający pełne usta jadła, śpiewa*).

Czy jest w świeti mołodycia,
Jak ta Handzia białolicia.
Ach skażyte dobry ludie,
Szczo ze mnoju teper budie.
Handzia rybka, Handzia pticzka,
Handzia moja połubiczka,
Handzia cacy, Handzia lala...

Nardjew (*zapaliwszy papierosa, powstaje*). Kończono djeło!... Zjedliśmy wszystko..

Abazali (*siedząc i skręcając papierosa*). I wypili wszystko! Hej służanka... Wodki... Padawaj wodki! (*Kasia przystępuje do stolika, bierze karafkę i wychodzi*).

Nardjew (*podochocony*). Teraz panie musicie nam zaśpiewać.. ale coś ładnego i wesołego! Ja okropnie damski śpiew lubię...

Abazali. I ja... i ja damski śpiew lubię!

Nardjew. Ot ja lubię i mój towarzysz lubi... Ja chcę pieśni i mój towarzysz chce pieśni... a jeżeli ja chcę, i on chce, to się stać musi... a gdyby się stać nie miało, to gotów jestem dom spalić... was wszystkie usmarzyć... albo też oddać was prostym kozakom!.. Niechby sobie z wami pogulali! Ha? Sasza!

Abazali. Haraszo!... Niechby sobie pogulali!

Wanda. Panie oficerze... przyszedłeś do obywatelskiego domu, nie do karczmy.. Chciałeś jeść i pić... dostałeś to wszystko...

Abazali. Niet, nie wszystko... (*krzyczy*). Wodki! Ej... wodki!

Nardjew (*krzycząc*). Pieśniej... hej... pieśniej!...

Abazali. Wodki i pieśniej... Pieśni i wodki! (*bije pięścią w stół*).

Anna. My panom śpiewać nie będziemy...

Nardjew. Będziecie!

Wszystkie. Nie będziemy!

Nardjew. Ja nie ustąpię.

Abazali. I ja nie ustąpię.

Wanda. Panie oficerze... Jesteś oficerem...

Nardjew. No... tak cóż?

Wanda. Postępuj więc jak oficer, a nie jak zwykły, ordynarny Moskal...

(*Nardjew, paląc papierosa, puszcza dym w samą twarz Wandy. Ta zgorszona odstępuje krok w tył*).

Wanda. Ależ to jest... nikczemność...

Nardjew. Małczat!...

Wanda (*oburzona*). Co, co? (*wyciągając rękę*). Za drzwi! Ty chłystku!.. Ty pijanico jakiś!

Nardjew. Ja pijanica?... Ach ty!... (*wyjmuje szablę*)

Marya. Matko Przenajświętsza!

Anna. (*staje przed Wandą z pistoletem, mierzy w głowę Nardjewa*). A więc?...

Nardjew. (*cofając się*). A ty co? Paszła won!

Anna. Ty sam won!.. Za drzwi!... Do karczmy!... Chłystku ty jakiś!...

Abazali. (*trzymając się za boki śmieje się głośno*). Cha, cha, cha!... Ot twoja znajomość z Polkami... ot tobie Polki!... (*Powstaje i jednym skokiem zbliża się do Anny, chwyta ją za rękę, wykręca i odbiera pistolet. Następnie przykłada go do jej piersi i mówi*). Na kolana!

Wszystkie. Jezus Marya! (*Anna z zamkniętemi oczyma stoi wyprostowana*).

Abazali. Na kolana!

Nardjew. Stoj... stoj... Sasza! Dla niej nahajka, nie kulka. Ha!

Abazali. Haraszo! Padawaj nahajku!

Nardjew. I dla niej... i dla wsiech!.. Ha?

Abazali (*wesoło*). I dla wsiech! Ej!.. wodku... podawaj wodku.. Pogulamy.. Nahajka dla wsiech! Haraszo! Urra!

Nardjew. Urra!

Kozacy (*słysząc to, krzyczą także za sceną*). Urra!

Bolesławicz.

poczęły okropną kośbę. Bezkształtne, straszliwie pocięte masy ciał zaległy pobojowisko. Zapach krwi aż dusił. Pardonu nie dawano.

Gdy część Moskali zwróciła się ku ucieczce, nakazano kawaleryi pogoń. Ale nie było kogo gonić. Prawie wszyscy potonęli w bagnach i trzęsawiskach. Garść tylko wyrwaliśmy z rąk rozjuszonych kosynierów i tę przywiedliśmy przed pułkownika.

Był między innymi ujęty żywcem Nikiforów. Przywitał go Czachowski nahajką, a gdy ten zaskomlał, że jest oficerem i do tego rannym, odpowiedział mu na to:

— Łajdaku, podpalaczu. — jako oficera odesłałbym cię do szpitala, lecz jako rabuś, będziesz wisiał.

I tak się stało. Sąd wojenny zaraz po powrocie do obozu jednogłośnie skazał go na śmierć i jak zasługiwał, zawisł na gałęzi.

Ponieważ noga moskiewska nie uszła z pogromu, wysłał Czachowski do generała rosyjskiego Uszakowa z listem kozaka rannego, darząc go wolnością i 10 szablami.

Straciliśmy tylko kilku zabitych, a między nimi padł nasz dzielny „Grzmot", na sito pokłuty bagnetami.

Trzy jaszczyki prochu i trzy wozy karabinów wpadło w nasze ręce, co umożliwiło nam dostatnie uzbrojenie. A była ta broń potrzebna, bo od tej walki pod Stefankowem rozpoczął się za nami pościg zażarty i bez wytchnienia...

Bogdan Krzysztofowicz.

TRENY NA ROZBIÓR POLSKI 1795 R.

Dnia 3 stycznia przypadła ostateczna deklaracya Austryi i Rosyi do trzeciego rozbioru Polski. Przy tej bolesnej rocznicy podajemy jeden z Trenów, napisanych pod świeżem wrażeniem rozdarcia Ojczyzny przez X. Morelowskiego w r. 1795. Treny te, prawie zupełnie nieznane, wydało w ubiegłych miesiącach Krakowskie Tow. Oświaty Ludowej

TREN III.

Na widok mapy Królestwa Polskiego.

Kraju wielki! zmieszczony na tej szczupłej karcie!
Maszli iść jak ten wątły papier na rozdarcie?
Co go trzymam w mym ręku, a łzy me rzęsiste
Piszą na nim trzech wrogów granice troiste.

Niechcąc — mimo mej woli — brzydząc się wrogami,
Na tej mapie kraj polski podzieliłem łzami.
Płynie Wisła potokiem łez moich wezbrana,
Uciekając do morza od kajdan tyrana.

Niemen gorzkich nie mieszcząc płaczów w swojem łonie,
Wyszedł z brzegów, i Litwa we łzach moich tonie.
Niestety! jak tę kartę deszcz oczu mych skropił,
Tak Polak łez powodzią wszystek kraj zatopił.

Gdzie spojrzę po tej karcie, wszędzie żal głęboki
Najweselsze mi w smutek zamienia widoki.
Warszawo! serce Polski! srodzy dziś morderce
I z ciebie, i z mych piersi wydzierają serce.

W czyim ręku twe skarbce? gdzież świetna korona
Na laury nieśmiertelnych Sobieskich kładziona?
Gdzie berło, co go niegdyś car dumny się lękał,
Co je Teuton szanował, przed którym Prus klękał?

Wilno! gniazdo Jagiełłów i Witołdów dawne!
Byłoś niegdyś, i teraz byłoś jeszcze sławne;
Pocóż wzrok mój tam zwracasz, co łzy rzewnie toczy,
Skąd Witołd, skąd Jagiełło dziś odwraca oczy?

Skąd czekałem ratunku, rzucę wzrok w tę stronę
I tam rozpacz znajduje oko omylone:
Gdzie cnota sejmowała, tam przemogły zbrodnie,
W własnem mieście ojczystem, zginął Polak w Grodnie.

Mogęż spojrzeć na Kraków, gdzie kraju żałoby,
Choć smutne, ale świetne stoją królów groby?
Tam na pogrzeb ojczyzny grób swój król zostawił
Sam, radość cieniom Szujskich, Moskwy jeniec sprawił.

Kraj ten wielki, obfity, i kogoż, i za co
Ma wzbogacać swym odtąd przemysłem i pracą?
Za to, że go spotkała niewola tak sroga,
Musi żywić, odziewać i nagradzać wroga.

Dla niego musi znosić odtąd rolnik znoje,
Za niego żołnierz polski musi stawać w boje:
I przyjąwszy na siebie jego śmierć i rany,
Nie za siebie umierać, umrzeć za tyrany.

Każde miasto pomnikiem było polskiej chwały,
Dziś szyderstwem, dziś łupem trzech sępów zostały;
Nam jeszcze nie zorane krzyżackie mogiły
Urągają, że w naszej ziemi nas przeżyły.

Urągają nam prochy moskiewskie, tureckie,
I dawno już zmieszane z ziemią polską szwedzkie.
Czemże dzisiaj ma Polak, czem kraj polski słynąć?
Szczęśliwy! kto mógł razem z swą ojczyzną zginąć:

Bez imienia, bez sławy, naród nieszczęśliwy
Nie żyje, ale raczej mieszka w grobie żywy.
Takie życie dziś nasze, gdy Polska ustaje,
Gdy nawet i z tej karty wymażą jej kraje.

X. Józef Morelowski.

NASZE HASŁA.

Czy przy pługu, czy w koronie
Niechaj pomni na ustawy,
Pomni na przysięgę swoją
I w każdej chwili żywota
Niechaj mu na myśli stoją
Ojczyzna, nauka, cnota!

W tych słowach określił Mickiewicz trójcę haseł, które winny przewodniczyć Polakowi na drodze wyznaczonej mu przez losy dziejowe. W każdem z nich kryją się oczywiście obszary, każde z nich stanowi hasło budzące potężny oddźwięk w duszy polskiej, uświadomionej w swych obowiązkach, skorej do pracy społecznej, wierzącej w lepszą przyszłość narodu. W tych hasłach tkwią prawdziwe dźwignie tej lepszej przyszłości, ich spełnienie stanowić musi troskę każdego towarzystwa, które pragnie strzedz naszego stanu posiadania, dbać o utrwalenie tego stanu, myśleć o powiększeniu tego posiadania.

Myśl o ojczyźnie, która umiera na kresach śląskich, wielkopolskich, litewskich, białoruskich, ukraińskich, którą niszczą i szarpią w dzielnicach wewnętrznych uprzedzenia stanowe, nasza własna gnuśność i lekkomyślność, obce żywioły w postaci większości obojętnego lub wprost wrogiego żywiołu napływowego niemieckiego i żydowskiego, winna unicestwić nasze osobiste pragnienie i cele. Czem są one dziś wobec tego, że na Śląsku właśni bracia zapierają się miana polskości, że w Wielkopolsce skurczyła się znów ziemia po utracie Rydzyny, że w Warszawie społeczeństwo proletaryzuje się a stanowiska wpływowe i doniosłe pod względem ekonomicznym obejmują oboy, gdy my upajamy się znakomitą operetką i kabaretami? Czem są one dziś wobec faktu, że na Litwie odzywają się hasła najwstrętniejszego interesu klasowego, że wśród mas białoruskich, które wiązała z nami wiara katolicka, odzywają się hasła separatystyczne? Nasze Towarzystwo naukowe warszawskie mieści się w nędznych pokoikach w oficynie, po bibliotekach są tylko pustki, gdyż nikomu nie przyjdzie do głowy pracować poważnie, skoro uniwersytetem owładnął żywioł rosyjski. Nasze szkoły prywatne robią bokami, nasze młode siły naukowe marnują się na pracy dla chleba. Peterburscy Polacy dają swym dzieciom do czytania życie Suworowa, na kresach żywioł drobnoszlachecki ginie w masie białoruskiej i ukraińskiej, żydzi galicyjscy, wahają się, jaki język wpisać do ksiąg konskrypcyjnych i ustępują przed naciskiem interesu materyalnego.

Brak nam poczucia, że ojczyzna żyje tylko w naszych sercach, że niczem jest ziemia, majątek, znaczenie, jeżeli tego poczucia zabraknie. Brak nam nauki, która mogłaby rozświecić głowy ludu śląskiego, zdradzającego ojczyznę dla srebrników czeskich lub niemieckich. Brak nam nauki, która mogłaby dać zrozumieć młodzieży warszawskiej, że nawet najgorszy uniwersytet jest ostoją kultury, że ułatwia opanowanie stanowisk inteligentnych polskim żywiołom, oddaje masy pod wpływ rosnących warstw kulturalnych, które muszą się zmniejszać, skoro tylko bogatszym dozwolonym jest wyjazd za granicę. Brak nam nauki, której łachmanami lubimy ich odziewać, choć zewsząd świecą dziury ignorancyi i bezmyślności, jaka cechuje zwłaszcza szlachtę litewską, białoruską, wołyńską. A ta szlachta właśnie przedstawia tam jedyną podporę naszego bytu za Niemnem i Styrem, w jej dbałości o drobny tłum szaraczków, którzy winni widzieć w nich ludzi nauki i postępu, tkwi nasza przyszłość w dzielnicach straconych politycznie, ale nie kulturalnie.

Brak nam nauki, którą zdobywa się po uniwersytetach galicyjskich dla chleba i awansu, by potem zerwać z nią zupełnie i gdy skończą się czynności urzędowe, grać po resursach i kasynach, pić po handelkach, snuć plotki po domach i na ulicach.

Brak nam cnoty, która jest heroizmem obowiązku. Ten obowiązek spełniać należy ze świadomością, że na każdem stanowisku można służyć

DLA IDEI!...

Dzień mroźny i posępny! Jak daleko sięgnąć okiem, widać było tylko biały całun łąk i pól, poprzecinany szaremi smugami drzew. Brzozy, jak niewiasty, w głębokim smutku pogrążone, sterczały obnażone z liści. Od czasu do czasu zimny wiatr poruszał ich konarami.

Drogą szła dziewica, okryta łachmanami, drżąca jak osika od zimna. W ręce trzymała harfę. Złociste włosy spadały na jej nagie, alabastrowe ramiona i okrywały je. W oczach widać było płomień, ogrzewający twarz.

W całej, tym nędznym łachmanom okrytej postaci przebijała potęga nadludzka.

Choć mróz był wielki, ona nie czuła zimna.

Pieśń potężna, pieśń dziewicza, pieśń miłości rozgrzewała jej piersi, jej ciało i przenosiła jej duszę w nadziemskie krainy.

Oczy wzniesione w górę spoglądały w niebo z miłością. Ręce jej, skostniałe od zimna, uderzały rytmicznie o struny harfy.

Choć była sierotą na świecie, choć nie miała dachu nad głową i w co okryć zziębniętego ciała, to jednak szła od wioski do wioski z pieśnią na ustach, a z harfą w rękach, głosząc przebaczenie i miłość.

Nigdy nie płakała nad swą niedolą, lecz nad niedolą drugich.

Ona nie czuła swej niedoli!

Czuła się szczęśliwą, że Bóg wybrał ją jako narzędzie do głoszenia przebaczenia i miłości.

Była aniołem kojącym odwieczne rany ludzkości! Głosiła ideę wielką, ideę potężną, ideę świętą, ideę... Chrystusa.

Swą pieśnią i grą na harfie dokonywała cudów. Gdziekolwiek zjawiła się, tam znikała nienawiść.

Lud nazywał ją Świętą Panią!

Skoro tylko dowiedzieli się, że ich Święta Pani zbliża się, wylęgali wszyscy z chat i klękali przed nią.

Dzieci zaś słały jej dywan z kwiatów i róż polnych.

Ona kroczyła powoli, majestatycznym krokiem, spoglądając z miłością na wszystkich!

Pieśń jej miała cudowną moc. Echo jej rozlegało się po górach, lasach, wyżynach, dolinach.

Pieśń jej... to pieśń miłości... pieśń wolności!

I tak głosząc ideę potężną, zasnęła raz przy drodze na kamieniu.

Zasnęła snem cichym, spokojnym,... snem wiecznym.

Nad jej twarzą wznosił się krąg, jasny, świetlany.

Na jej ustach igrał jeszcze uśmiech szczęścia, błogiego spokoju.

Cała jej postać wyglądała jakby postać świętej!..

Za łoże miała ziemię, zroszoną ludzkiemi łzami, ziemię, okrytą szronem, za poduszkę śmiertelną kamień, a za całun pogrzebowy sklepienie niebieskie!

Obok niej leżała harfa, wydająca ze siebie jakieś przedziwne, smętne dźwięki, składające się na hymn pogrzebowy dla świętej męczennicy idei.

Harfa jej dotąd jeszcze nie zamilkła. Gra ona wszystkim pieśń smętną, pieśń opiewającą śmierć świętej męczennicy idei, aż kiedyś nareszcie obudzi narody, pogrążone w śnie znieczulenia, słabości a wtedy zamieni się we wspaniały hymn, hymn.. wolności!

I wtedy też ożyje na nowo święta dziewica, lecz już nie jako męczennica idei, lecz jako tryumfatorka i zadrży z radości na widok zwycięstwa swej idei. *Dr. Karol Retmański.*

Z czego zrobił Bóg ludzi?

— Czy wy nie pamiętacie, Jojne, z czego to Pan Bóg zrobił ludzi?

— Z prochu ziemi.

— To chyba tylko nas, bo Polacy muszą być pewnie zrobieni z żelaza.

— Mojsie! Skąd wam to przyszło do głowy?

— Bo na to, co oni w ostatnich czasach potrzebują wytrzymać, glina by się już dawno rozsypała.

Gwiazdka niedzielna (Gdańsk).

użytecznie swoim, że żadne stanowisko nie poniża człowieka, że praca energiczna i sumienna wnosi zdrowie w organizm społeczny. A tymczasem u nas wstydzi się pracować nauczyciel gimnazyalny, gdyż śnią mu katedry uniwersyteckie, najgorzej spełnia swe obowiązki, urzędnik, gdyż nie umie żyć wedle dochodów i pozuje na posiadacza dóbr. Polak za granicą przepuszcza pieniądze publiczne, gdyż pociągają go miejsca zabawy paryskie, a najmniej bawi to, co poznać i pogłębić jest jego obowiązkiem. Przywozimy z Paryża ukochanie zbytku i zabaw, podejrzaną moralność, niewiarę we własne siły i pogardę swojskości a najmniej wiedzy, sprawności energii do pracy w kraju. Bez cnoty, obowiązku, niema zaś narodu, któremu brak króla, rządu, władzy, instytucyi, armji, pieniędzy, granic.

Niesłychanie wzruszają nas rocznice zwycięstw, obchodzimy je też wspaniale, choć nasze instytucye oświatowe stoją na niepewnych fundamentach, choć dar grunwaldzki rośnie nader powoli, choć ubóstwo warstw miejskich bije w oczy, a równocześnie obce żywioły zagarniają domy, grunta, fabryki, dopominają się o prawa dla żargonu, gdyż obcym jest im język większości. Na najsłabsze w Europie społeczeństwo spadła najcięższa chmura wrogów, nikczemne mnichy zbezcześciły świętość przez wrogów uszanowaną, mamy już polskie prawosławie w środku kraju w postaci maryawitów. I dlatego nie można nie przypominać, że odrodzenie narodowe spełni się jedynie przez spełnienie haseł, które rzucił niegdyś upadłym i spodlałym w niewoli Mickiewicz.

Z niego wyszliśmy wszyscy, z nim przejdziemy i ten krąg piekielny, którym jest długi wiek niewoli. Ale godzina sprawiedliwości wybiła już dla słabszych, my doczekamy jej zjednoczenia w legion spójny i silny jednością a rozumnem ukochaniem wspólnych haseł.

Dr. Tadeusz Grabowski.

ZAWIŚĆ PARTYJNA.

(Z „Siedmiu grzechów głównych naszego narodu")

Badając programy naszych stronnictw politycznych dostrzegamy w nich mniej różnic, niż u innych narodów. Przyczyną tego nie są bynajmniej nasze wyższe kwalifikacje umysłowe lub etyczne, ale poprostu okoliczność, że wszystkich nas, mimo daleko idących różnic w poglądach, łączą zasadnicze pragnienia najgłębiej w duszach naszych tkwiące, cel wspólny. Zdawałoby się więc, że ten cel konsekwentnie wskaże nam solidarność, jako najwyższe dobro we wszystkich sprawach, mających jakikolwiek z przeszłością narodową związek. Tymczasem jest wprost przeciwnie.

Czy przypominać mam niedawną walkę przeciw „Macierzy" w Warszawie i potwarze, miotane przeciw zasłużonemu jej prezesowi, radość „postępowców" z każdego niepowodzenia polityki prezesa Koła polskiego w Dumie, oszczerstwa miotane świeżo w Galicji na prezesa Koła polskiego w Wiedniu przy akompaniamencie prasy obozów mu niechętnych? W tej partyjnej zawiści, nie cofającej się przed żadną bronią, giną u nas lub zniechęcają się najszlachetniejsi, z tej tarpejskiej skały usiłuje się ich strącić nawet wówczas, gdy żadnych nie mają osobistych ambicji ani pragnień — wystarczy choćby o cal przewyższyć innych, aby obudzić na siebie tych w swoim rodzaju fanatyków równości.

Gorzej jeszcze dzieje się w świecie literackim. Polityk ma przynajmniej obóz własny, który go broni i rywalom odpłaca pięknem za nadobne, wymuszając tym sposobem dla niego ocenę rzeczową i zaniechanie potwarzy w zamian za podobne traktowanie menerów przeciwnego obozu. Literat, człowiek nauki, nie ma często nikogo — oddany pracy swojej, przeświadczony o bardzo względnej wartości programów partyjnych — bywa nieraz na tyle nieprzezornym, że nie zapisuje swej duszy żadnemu zgoła stronnictwu. I jakiż stąd bywa rezultat?

Pisarze tacy, chociażby mieli za sobą szereg lat pracy i dzieł wybitnych, znanych w całej Europie, są konsekwentnie przemilczani: księgarnie nasze, liczące się oczywiście z rozgłosem autora, dzieł ich nie wydadzą; muszą więc pisać w obcych językach, aby wogóle znaleźć nakładców, zdobywać sławę zagranicą i tą drogą wymuszać sobie uznanie w społeczeństwie, naśladującem „pawie i papugi".

Wodzowie niektórych stronnictw naszych bywają absolutni. Wszelką opozycyę wywodziliby najchętniej od złego ducha i bywało niedawno jeszcze, przyzywali w walkach partyjnych do pomocy duchowieństwo, które jednak na szczęście nie wszędzie podejmowało obronę „prawowitej władzy". Wmawiali w ogół i nieledwie sami wierzyli w stałą swą nieomylność, jak gdyby na arcykapłana stronnictwa nietylko w Zielone Świątki i nietylko *cum ex cathedra loquitur*, ale wogóle zawsze, gdy raczy otworzyć usta, zstępował Duch Święty.

Ale wodzowie ci, to przynajmniej ludzie dobrej wiary i patryoci — ich niesprawiedliwość wobec *outsiderów*, to raczej sprawka ich informatorów i suflerów, grzejących się przy ich ogniu, niemających nigdy własnego zdania w rzeczach nauki, sztuki, polityki, a pragnących szczerze tylko jednej rzeczy — własnego wyniesienia się, po austryacku: karyery.

Otóż, co czynić należy, aby najlepszych w narodzie: tych, którzy zasadniczo i z głęboką wiedzą pracują dlań w dziedzinie nauki lub polityki, nie stracić, aby pierwszym zachować tę niezależność myśli, rękojmię czystości ich ideałów, pomost ku najwyższym zdobyczom wiedzy — drugich ochronić przed jednomyślnością w rzucaniu podejrzeń, złośliwością w tłumaczeniu intencji, jadowitą radością wobec każdego niepowodzenia?

Mówią pesymiści, że chyba pruski ucisk, przez jakiś czas stosowany, nauczyłby nas cenić porządek, prawo, solidarność, wstrzymał od bratobójczych walk i ciągłych potwarzy, skierował nasze niechęci przeciw wspólnemu wrogowi, nauczył cenić i popierać tych, którzy pracują dla narodu.

Ale nie mogę, nie chcę wierzyć tym głosom. Czy już o własnych siłach dźwignąć się nie możemy?

Wychowanie młodzieży w poszanowaniu cudzego zdania, w cenieniu przedewszystkiem ludzi, mających własne przekonania i twardy kark, rozwijanie w niej zmysłu krytycznego, przy pomocy którego nauczyłaby się odróżniać przyjaciela-weredyka od sługusa-pochlebcy; wychowanie jej w solidarności i miłości, która zwłaszcza u nas jest nietylko przykazaniem Bożem, ale i najwyższym wymogiem rozumu stanu — wychowanie jej przytem z dokładnie wytkniętym celem urobienia nietylko człowieka kulturalnego, wielbiącego wszystko, co wielkie i piękne, ale i Polaka, któryby był nim każdej chwili, w każdem słowie i działaniu, któryby każdy swój czyn, słowo, myśl do korzyści narodu swego chciał i umiał naginać — położyłoby koniec tej wstrętnej przewadze stronniczego ducha na ziemiach polskich i wykrzesałoby w młodzieży naszej pełną poświęcenia i zaparcia się miłość do wszystkich — ach! tak nielicznych przecie — którzy kładą podwaliny pod przestronny i cały naród ogarniający gmach naszej przyszłości!

Oby wychowanie naszej młodzieży jak najrychlej przejęło się temi zasadami i obyśmy jeszcze sami doczekać się mogli widoku jego owoców!

Dr. Leopold Caro.

NASZA PRZYSZŁOŚĆ W ŚWIETLE WSPÓŁCZESNEGO WYCHOWANIA MŁODZIEŻY.

Szczęśliwym czuje się ten naród, który ma czystą i zdrową, pełną zapału i energii młodzież. Społeczeństwo przez swych upełnomocnionych, w imię lepszej przyszłości, wpaja w tę młodzież w szkołach najpiękniejsze idee i ma prawo spodziewać się, że ten posiew wyda najlepsze, a zdrowe owoce. Młodzież zaś, czując ten obowiązek, jaki na niej spoczywa, czując się niejako przed teraźniejszością odpowiedzialną za przyszłość, w myśl zaszczepionych jej idei pracuje dla kraju. W ten sposób społeczeństwo wychowuje sobie spadkobierców swej pracy, wychowuje przyszłych obywateli kraju.

Zaiste, stokroć szczęśliwy jest naród, który ma taką młodzież. Wszędzie się ją widzi przy pracy, każdy się do niej z miłością odnosi, każdy z chęcią dla niej pracuje, wszyscy się o nią troskają i radują się widząc, jak z pod rąk jej wychodzą dzieła dokonane jej energią i wytrwałością, kierowane jej szlachetnym zapałem. Toż to najświętszy skarb narodowy, toż w nim są zamknięte hymny przyszłości, toż to jest wszystko, co pozostawia krajowi społeczeństwo schodzące, a kochające gorąco swoją ojczystą ziemię. Oto niemal już widzę szczęśliwą przyszłość tego narodu, rozumiejącego swe zadanie i obowiązek wobec kraju, oto widzę to przyszłe pokolenie, jak rozumnie i z ogromną miłością zabiera się do pracy żmudnej, wymagającej poświęcenia swego „ja", obok wielkich zasobów zdrowych sił..

Tak, to będzie szczęśliwy naród, lecz my!? Gdzież to społeczeństwo, rozumiejące swoje zadanie i obowiązki wobec kraju, widzące przyszłość jego w zastępach młodzieży, gdzież ta młodzież z zapałem pracująca, a wytrwale?!

Społeczeństwo nasze na jedno tylko patrzy, to zdaje mu się najważniejszem: młodzieży trzeba dać jeść. Poza tem nie widzę kiwnięcia palcem dla spełnienia choć setnej części swego obowiązku, czasem tylko odruch. A toż zapominamy, że nie tylko samym chlebem człowiek żyje! Przecież prócz żołądka mamy jeszcze duszę, ta też pragnie pokarmu, chociaż nie krzyczy: głodna jestem! Tej nie umiemy nakarmić, dla niej nie mamy strawy, albo dajemy tak niestrawną, jak są wszystkie niemal nauki szkolne, obok swej pozornej zewnętrznej piękności. Toż to wszyscy wiemy, a zresztą to jest jasne: gdyby praca powołanych czynników była taką rzeczywiście jaką być powinna, czyżbyśmy widzieli ten rezultat jej, jaki dziś ze smutkiem i trwogą o przyszłość oglądamy.

Gdzież te zastępy zdrowej, czystej, pełnej zapału i energii młodzieży?! Czy ją widzimy przy jakiejś pożytecznej pracy tak chętną i wytrwałą, że moglibyśmy to sobie tłumaczyć tylko gorącą miłością ojczyzny?! Gdzież dzieła jej rąk?

Niestety i jedna strona i druga musi się tu w piersi uderzyć. Czy społeczeństwo spełnia swe obowiązki wobec młodzieży? Nie. Czy młodzież czuje swą odpowiedzialność za to, co robi? Czy wie co powinna robić? Czy zna swoje obowiązki? Nie, smutne to jest, ale nie. Powiem, że są jednostki, które nie poprzestają na samej świadomości i pragną pracować, toż mamy czytelnie po szkołach, kółka samokształcenia i t. p., lecz cóż to najsmutniejsze, że w nich bierze udział może najwyżej pół procent uczniów dotyczącego zakładu. W ten sposób usiłowania garstki bardziej ruchliwych nie odnoszą pożądanego skutku. Spyta kto może: a gdzież reszta? Co oni robią, gdzie ich można zobaczyć? Ha, pytajcie raczej gdzie oni nie są, czego nie robią, gdzie ich nie widać.. I jakże społeczeństwo wobec tego się zachowuje? Najobojętniej, jeszcze tym drobnym garstkom, chcącym pracować samodzielnie lub zabawić się najniewinniej pod okiem swych starszych kolegów, przeszkadza. Co jest jednak powodem tego stanu? Boć przecież poznanie źródeł złego powinno być bezpośrednim powodem do jego naprawy.

Przedewszystkiem obecny system szkolny. Zasadą, którą zwyczajnie kierują się wszystkie instytucye, (o ile nie, to powinny), jest, że wszelkie statuta, regulaminy ustanawia się, stosując się do potrzeb tych, którym odnośna instytucya ma służyć. Nie przeczę, że przepisy szkolne odpowiadały potrzebom z przed lat czterdziestu, zupełnie to jest możliwe (choć pozwalam sobie powątpiewać), ale, darujmy, dzisiejszym nie mogą odpowiadać. Wszystkie zmiany tych przepisów wyglądają jak łatanie, byle tylko nic nowego z gruntu, z ducha. I oto cel szkoły dzisiejszej: pakowanie do jednej formy i odlewanie według niej równych jedna drugiej... figurek. Że cel ten czasem chybia, nie jest to niczyją winą, to figiel losu. Ale jak często nie chybia! **Powtóre sposób wykonywania przepisów.** Można rozmaicie interpretować każdą ustawę, można złą najlepiej tłumaczyć i stosować, można dobrą najokropniej wykoślawić. Czyja to wina? Tych, którzy mają prawo interpretacyi. Trzeba znać ducha ustawy, lub trzeba samemu temu duchowi być bliskim, tj. mieć z nim coś wspólnego np. być członkiem tego społeczeństwa, które dotyczącą ustawę wydaje, aby módz dobrze interpretować. Tymczasem ustawy szkolne są obce polskiemu duchowi, można je więc tylko lepiej interpretować, a że tak niestety nie zawsze jest, któż temu winien? Ja widzę tylko rezultat, niczem nie zasłonięty, taki jak jest w rzeczywistości, i według tego sądzę.

W dalszym ciągu **brak udziału społeczeństwa w wychowaniu szkolnem, oraz nieumiejętność wychowywania ze strony rodziców, obok zupełnego nie zdawania sobie sprawy z doniosłości tego obowiązku.** To nie potrzebuje uzasadnienia, wszyscy interesowani o tem wiedzą najlepiej. Czy to z braku czasu wskutek zajęć, czy z innych najrozmaitszych powodów, rodzice nie dopełniają tych obowiązków, które na siebie, tworząc rodzinę

przyjęli. Byłoby to smutne, gdyby tak miało trwać dalej, gdyż świadczyłoby o obniżaniu się wysokości kulturalnej społeczeństwa, które nie zdaje sobie sprawy z obowiązków rodziny.

W skutkach tych powodów i wielu innych, które można zresztą pod te trzy główne podciągnąć, widzimy stan obecny. I to można stwierdzić bezwarunkowo. Wszak młodzież to niemal glina, z której trzeba wymodelować człowieka, to materjał, któremu powołani powinni poświęcić czas przeznaczony na to, aby z niego zrobić coś więcej nad figurkę podobną do formy. Młodzieży winić nie można; jest to najwygodniejsze, to zwala na nią całą odpowiedzialność, ale to jest równocześnie zamydlaniem oczu samym sobie, co bezwarunkowo nie powinno być dopuszczalne.

Młodzież niemal, że nie poczuwa się do żadnych obowiązków, choć zdaje sobie z nich sprawę. Wprawdzie możnaby ją winić za jej postępki od chwili uzyskania świadomości, ale trzebaby u niej tę świadomość wyrobić jaknajwcześniej, trzeba by ją nauczyć czuć odpowiedzialność, trzeba by ją oduczać młodzieńczej krótkowzroczności i obliczeń na najbliższe jutro, trzeba by uczyć patrzeć przed siebie śmiało, kroczyć pewnie i samodzielnie. A to wszystko nie jest w intencyi przepisów, które, jak zresztą zwykle w takich wypadkach, chcąc ominąć wyraźne wypowiedzenie pewnej rzeczy, dla ogółu przykrej, do najdrobniejszych szczegółów postanawiają, jak winien profesor postępować, a jak nie, żeby się przypadkiem nie pomylił! Ogranicza się profesorów, którzy muszą, będąc sami w posiadaniu szczuplejszych zasobów, ograniczać młodzież, to znaczy dawać jej mniej, niżby mogli, będąc swobodnymi w niektórych kierunkach.

Z drugiej strony widzimy liczne rzesze młodzieży puszczonej „samopas", albo raczej nie tyle puszczonej jak pozostawionej. Są to ci wszyscy, którymi nikt się nie opiekuje, którzy nikomu nie sprawiają troski, a sami tkwiąc w nich „po uszy" nie mają czasu poprostu na kształcenie swojej indywidualności, swej duszy poza szkołą, a zresztą brak im wszelkich w tym kierunku wskazówek. Któż ma im je dać? W tym czasie, gdy każdy patrzy, aby mógł sam jaknajwięcej użyć, zabawić się, gdy oblicza, że on za te parę centów, które innemu da na bułkę, kupi sobie ciastko, ot dla smaku... W tym czasie, gdy wszyscy pragną się wzajemnie przekrzyczeć, aby własne troski i bóle zagłuszyć, gdy wszyscy „nie mają czasu..." Któż ma ich poprowadzić?! A jednak znajdują się i tacy, tylko ci stają wobec faktu smutnego i przykrego, wobec braku ofiarności na takie cele. Cóż pomoże krzyczeć aż do ochrypnięcia, tłumaczyć najbardziej przekonywająco, gdy ktoś nie chce zrozumieć. A ta duża grupa młodzieży stanowi niejako przeciwwagę reszty, nie można, nie wolno odmawiać jej praw na równi z innymi, a jednak oni tamują swobodę, oni absorbują swych kolegów, stają się powodem złamania zasady własnej wygody w życiu, z jaką ogromna większość wśród nas się rozpycha.

Zapominamy jednak, że ci opuszczeni i nieopuszczeni na równi będą kiedyś zajmowali nasze miejsca, że będą wygłaszali swoje zdanie, że oni będą stanowili kiedyś ducha Polski. Tego ducha nakarmić za młodu, oto cel szkoły i domu i każdego kto tylko może zbliżyć się do młodzieży. Wszczepić w młodości umiejętność życia, obok szlachetności i cnót, które powinny młodzież zdobić, porwać ją ideałami do ukochania swej pracy, piąć się razem z nią, razem z nią się mozolić, oto co znaczy wychowywać patryotycznie, wychowywać, kochając kraj swój ojczysty i troszcząc się o jego przyszłość.

Czy tak jest? Jaka nasza przyszłość wobec tego? Na to pytanie zapewne każdy sam w swej duszy odpowie lepiej, żeby tego nikt nie słyszał... Tymczasem zaś chciejmy, aby było lepiej...

Bolesław Rozmarynowicz.

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują Cię tylko umysły poczciwe,
Dla Ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla Ciebie rany, pęta niezelżywe.
Byle Cię tylko wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Krasicki.

...żadne społeczeństwo nie jest poważniejszem, żadne milszem od Ojczyzny, za którą któż zacny wahałby się nawet śmierć ponieść, gdyby mu tak wypadło?

Cycero.

Z POD ZABORU AUSTRYACKIEGO.

BIAŁA.

Pobieżny szkic historyczny.

O Białej coraz częściej się mówi i coraz więcej wzmiankuje w dziennikach, a jednak wiadomości o położeniu jej geograficznem, o stosunkach narodowościowych tamże panujących przeważnie są błędne, boć nawet korespondenci czytelników w błąd wprowadzają, znając tamtejsze stosunki zazwyczaj tylko doryweczo, bo nieznaną im jest przeszłość tego miasta. Często popełnia się błąd ten, że się Białe miesza z sąsiednim Bielskiem, a nieraz ludzie obeznani z geografią sądzą, że Biała a Bielsko jest jednem miastem. Warto przeto zapoznać czytelników z historyą.

Biała leży nad rzeczką tegoż nazwiska, która wypływając z Beskidu u stóp Klimczaka 900 metrów ponad poziom morza wzniesionej góry, przez całą swą długość, wynoszącą zaledwie około 35 kilometrów, stanowi granicę pomiędzy Galicyą, a Śląskiem. Mniej więcej w połowie biegu rzeki rozciąga się obecnie w dolinie miasto Biała po prawym brzegu rzeki, a na lewym brzegu bardzo pagórkowatym rozbudowało się miasto Bielsko, złączone mostami przerzuconymi nad małą rzeczką. Do początku ośmnastego wieku Biała jeszcze nie była znana, bo stanowiła tylko malutki przysiołek, należący do starostwa lipnickiego. Tędy jednak szły zagony tatarskie na zachód, tędy ciągnęły wojska Jana III. z odsieczą pod Wiedeń. Dopiero August II. podniósł Białę do rzędu miast, wydzielając ją z Lipnika za staraniem starosty lipnickiego Jakóba Zygmunta z Rybna Rybińskiego w dniu 9-go stycznia 1723, w roku panowania 26-tym, nadając miastu prawo magdeburskie, i zezwalając na odbywanie się targów, jarmarków z prawem propinacyi i t. d. W dalszym ciągu August II. i następcy jego zatwierdzali statuta cechów rzemieślniczych, jako to kowalskiego, ślusarskiego, rusznikarskiego, szklarskiego, rzeźniczego, piwowarskiego i t. d. Dotyczące przywileje wystawiało się po części w języku łacińskim powszechnie używanym, po części zaś w polskim na podania w tymże języku wystosowane.

Dopiero król Stanisław August wystawiał przywileje w języku niemieckim, poczynając od zatwierdzenia przywilejów miasta. Dotyczący dokument opiewa:

„Stanislaus Augustus Rex.

Confirmation des Erections-Privilegiums des Stadtlein Biala in der Krakauer Wojewodschaft und Furstenthumern Oświęcim und Zator demselben ertheilendes und dessen Freiheiten erlaubendes.

Datum in Warschau, die 16 Maji Ao 1766 unseres aber Königreichs Ao 2."

Następnie nadawanie innych przywilejów, jakoteż potwierdzenie statutów cechów rzemieślniczych odbywało się w języku niemieckim.

Po rozbiorze Polski, dekretem nadwornym z dnia 10 go czerwca 1789 r., uznano Białę królewskiem wolnem miastem, ,wyłączono z Lipnika i uwolniono ją od wszelkiej zależności.

Główny gościniec łączący zachód ze wschodem przechodził przez Białę, miasto więc, w którem przemysł kwitnął, miało wszelkie warunki rozwoju. Dotąd mieszkańcy bez względu na narodowość i wyznanie swobodnie żyli, boć niemcy i protestanci tu osiadli umieli ocenić wielkoduszność polską, bo ich nikt ani z powodu języka ani wiary nie prześladował. Wskutek zlania się rozmaitych narzeczy języka niemieckiego z językiem polskim powstały odmienne żargony I tak innym był żargon, którym mówiono w Białej, inny był w Bielsku, inny w Lipniku, sąsiednim Hałcnowie, Wilamowicach i t. d.

Przemysł, rękodzielnictwo kwitnęło, a towary w Białej wyrobione rozchodziły się szeroko po świecie. Stopniowo osiadało tu coraz więcej cudzoziemców, szczególniej z Prus, którzy pożeniwszy się znaleźli w Białej drugą ojczyznę. W warsztatach małych, przeważnie parterowych domków wrzało życie. Przechodząc ulicami, słyszałeś miarowo turkot bardzo licznych warsztatów tkackich. „Tik, tak, tak" słyszało się jakby takt mazura na wszystkie strony, bo przeszło sześćset naliczono warsztatów. A pożycie w drobnych zakładach rękodzielniczych miało charakter patryarchalny. Majster z rodziną, czeladnikami i terminatorami zasiadał do wspólnego stołu i nieraz terminator wyzwoliwszy się, pracował jako czeladnik, a po latach ożenił się z córką majstra i prowadził dalej warsztat.

Z biegiem lat napływ niemców i kapitałów niemieckich był coraz większym, a w połowie ubiegłego wieku stanęła pierwsza fabryka sukna po dziś dzień zwana Niederlandzką, a na czele miasta, jako burmistrz, stanął kapitalista niemiec, który przez dziesiątki lat trząsł miastem. W tym czasie w mieście Białej była niższa szkoła realna, do której uczęszczali także synowie obywateli Bielska, gdzie istniała podówczas tylko szkoła normalna. Rozwój dalszy miasta Białej wstrzymał atoli właśnie ów burmistrz, o którym poprzednio wspomniałem. Rozporządzając znacznym jak na owe czasy kapitałem i umiejętnie nim szafując, potrafił obywateli i rzemieślników finansowo tak opętać, że musieli być powolnymi jego zamysłom. Dążył on zaś celowo do tego, aby utwierdzić niemieckość miasta Biały i wstrzymać jego rozwój ekonomiczny, przyczyniał się zaś do tego, że Bielsko, mające mniejsze warunki do rozwoju z powodu swego pagórkowatego położenia, przecież niebawem wzięło górę nad Białą. Może pierwszą do tego nadającą się sposobnością był projekt dyrekcyi kolei północnej cesarza Ferdynanda, aby Dziedzice połączyć torem kolejowym z Białą. Burmistrz miasta potrafił tak opętać obywateli, że się na to nie zgodzili i wszelkiemi siłami oparli się temu projektowi, natomiast ojcowie miasta Bielska usilnie zabiegali, że tam stanął dworzec mimo znacznie większych trudności terytoryalnych. I w roku 1855 po raz pierwszy usłyszały mury miasta Bielska świst lokomotywy (17/12).

Powiadają, że tam, gdzie się trzech niemców zejdzie, odrazu zakładają stowarzyszenie „Verein". Otóż i w Białej zakładano rozmaite stowarzyszenia. Byłyto atoli stowarzyszenia bielsko-bialskie z siedzibą w Bielsku bez wyjątku Weksle były płatne w Bielsku, rachunki kupców i rzemieślników bialskich były płatne i zaskarżalne w Bielsku Miało to doniosłość ogromną w dodatniem znaczeniu dla Bielska, w ujemnem dla Białej.

Nadszedł rok 1866 — rok wojny austryackopruskiej. Biała się nieco wyludniła, boć powołani pod broń musieli wstąpić w szeregi armii pruskiej. Długoletni pobyt w Białej i okolicy przydał się. Gdy w lipcu nastąpił najazd pruski na Białę nie tylko wyznali się dokładnie w miejscowości, ale znaleźli mnóstwo znajomych, przyjaciół, nawet krewnych. Gdy po raz pierwszy zawitał do Białej mały oddział konnicy pruskiej, obywatele przyjęli ich nie już chlebem i solą, ale nawet wieprzowiną i piwem. Po wojnie zaś wielu synów Marsa w pickelhaubach napowrót zajęło swe miejsce w warstatach bialskich Obywatele byli pełnymi podziwu dla armii pruskiej, a podziw ten doszedł do punktu kulminacyjnego, gdy prusacy w roku 1870 taką klęskę zadali armii francuskiej, zagarnęli ogromną kontrybucyę, a król pruski zawdział na głowę koronę cesarstwa niemieckiego. C. d. n.

Dr. Józef Bogdanik.

RATUJMY ŚLĄZK!

Umieszczony poniżej list ze Śląska cieszyńskiego przedstawia nam jasno niebezpieczeństwo grożące prastarej polskiej dzielnicy.

Nie łudźmy się. Po 60 latach pracy nad uświadomieniem narodowem ludu śląskiego, po milionowych ofiarach składanych na ten cel przez zabór rosyjski, a w części Galicyę, sprawa polska na Śląsku stoi coraz gorzej.

Nietylko zalewają go Niemcy i Czesi — sam lud śląski „trzeźwy", obojętny pod wodzą renegatów przykłada rękę do upadku polskości.

Zawiódł jedyny „środek uniwersalny": szkoła ludowa. Wytężyliśmy w tym kierunku siły, zapominając, że szkoła nie może zastąpić wszystkiego.

Niemcy i Czesi w walce z nami używają wszelkich rodzajów broni: osadzają na Śląsku swą inteligencyę, ujęli w swe ręce cały ruch ekonomiczny, owładnęli handlem, rzemiosłem i rękodziełami, wysyłają tęgich agitatorów — a równocześnie zakładają szkoły.

My poprzestajemy na tym ostatnim rodzaju broni.

Już w nrze 11. „Straży Polskiej" zapytywaliśmy się, czy ten kierunek pracy narodowej jest wystarczający? Zwracaliśmy uwagę na „Ślązaka", na mały rezultat naszych zabiegów, na szkołę z językiem wykładowym polskim bez ducha polskiego, na zupełne z naszej strony lekceważenie wszelkich innych wypróbowanych sposobów szerzenia uświadomienia narodowego.

Nie będziemy powtarzali naszych wywodów i argumentów — kto ciekawy niech je przeczyta. Również na wiecu grunwaldzkim zaznaczyliśmy stanowisko „Straży Polskiej“ ostrzegając przed wytężeniem sił w jednym tylko kierunku.

Głos nasz jednak pozostał bez echa.

„Opinia“ nasza lekko przeszła nad faktem, że renegat Koždoń, redaktor nikczemnego „Ślązaka“, nauczyciel szkoły polskiej wybrany został większością 2/3 głosów nauczycieli śląskich powiatu bielskiego delegatem ich na konferencyę w Opawie. A wśród wyborców większość trzech czwartych stanowili nauczyciele... szkół polskich.

Dziś ten sam Koždoń, najemnik niemiecki, plwający na wszystko co polskie, jest posłem na sejm śląski z okręgu wyborczego w którym na 60.000 ludności polskiej jest 12.000 niemców. Dotychczas okręg ten wybierał zawsze narodowca.

Czy i to nam nie otworzy oczu? Czy i to nas nie przekona, że na Śląsku, mimo wysiłków ofiarności, nie idziemy naprzód, lecz cofamy się i to cofamy się gwałtownie?

Czy nie zrozumiemy nareszcie, że dla uratowania Śląska dla Polski, nie dość składek na szkoły polskie?

Łudzono nas kłamstwami o wzrastającem na Śląsku uświadomieniu narodowem, opowiadano nam bajeczki o nienagannym patryotyźmie ewangelików śląskich, karmiono nas teoryjkami i doktrynami o wszechpotędze szkoły polskiej — i oto każda chwila przynosi zaprzeczenie tym urojeniom...

Miejmy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy. Miejmy odwagę powiedzieć sobie, że Śląsk wyrywa się z rąk naszych, że zaledwie garstka ludu śląskiego czuje i myśli po polsku, że przy dzisiejszej metodzie naszego działania pójdą na marne szlachetne ofiary patryotów i zacne wysiłki tych Ślązaków, co nawołują lud śląski do skupienia się pod sztandarem narodowym. A jeżeli będziemy mieli tę odwagę, to może znajdziemy radę na uchylenie grożącego niebezpieczeństwa.

Trzeźwi są Ślązacy, powiada nasz korespondent, będziemy i my tacy sami. Nie traktujmy sprawy śląskiej jako romansu, nie polegajmy na uczuciach, nie dajmy się brać na frazesy. Traktujmy sprawę śląską, jako interes narodowy.

Z kredką w ręku obliczmy straty poniesione i szukajmy właściwych dróg do ich odzyskania.

„Straż Polska“ (stowarzyszenie), według swego statutu, nie ma prawa działania na Śląsku, ale ma prawo zwracania uwagi na niebezpieczeństwo gdziekolwiekbądź grożące żywiołowi naszemu. Obowiązkiem jej z tego prawa skorzystać i powoływać do pracy szerokie koła obywatelskie.

KILKA UWAG O STOSUNKACH NARODOWOŚCIOWYCH NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM.

Niegdyś kwitnąca prowincya dawnej Polski, później „perła krajów austryackich“, od Jana Luksenburskiego należący do Czech, miał Śląsk swoje piękne chwile dziejowe.

Od XII. wieku zasilany kolonistami niemieckimi, osadzonymi na wyjątkowem prawie i szczególnych przywilejach, rósł w dobrobyt i niemczył się powoli, jak i jego książęta Piastowie. Dawne jego grody i gródki obronne polskie, urastały z biegiem czasu na ludne miasta, ciągnące z handlu znaczne korzyści, rojne skrzętnem i zapobiegliwem mieszczaństwem niemieckiem.

Kiedy w r. 1327. wydarł Polsce Jan Luksenburski, król czeski, Śląsk i wcielił go do Czech, zaczął żywioł czeski bardzo powoli szukać dogodniejszych warunków bytu na żyznej ziemi śląskiej. Tak przeto od wieków osiedlały się obok tubylczej, rdzennej ludności polskiej, dwie nowe narodowości, Niemcy i Czesi.

Od bitwy na Białej Górze, a zatem od początków XVII. wieku, zyskał przewagę nad obiema narodowościami słowiańskiemi, butny Niemiec, pogromca Czechów.

W roku 1741. rozpoczął Fryderyk II. król pruski, zwany Wielkim, wojnę z Maryą Teresą, cesarzową niemiecką, o Śląsk. Większą część tej bogatej prowincyi, pozornie zupełnie zniemczonej, wcielił do swojego państwa. Przy Austryi utrzymał się zaledwie maleńki skrawek dawnego Śląska, zwany dziś „austryackim“ albo „dolnym“, dla odróżnienia od „pruskiego“ albo „górnego“ Śląska. Obszar jego wynosi zaledwie 5·150 km^2, jest przeto przeszło piętnaście razy mniejszy od Galicyi.

Śląsk austryacki rozpada się na dwie nierówne części, na Opawski i Cieszyński.

Śląsk Opawski, słabiej zaludniony i uboższy od Cieszyńskiego, zamieszkują Niemcy i Czesi; prócz tego znajduje się tam mała garstka Polaków, skazana zupełnie na zagładę. Śląsk Cieszyński, mający wysoko rozwinięty przemysł i górnictwo, znakomicie zagospodarowany i silnie zaludniony, liczy zaledwie 2300 km^2, jest przeto prawie 35 razy mniejszy od Galicyi.

Ponieważ jednak na Śląsku Cieszyńskim naliczono, mimo rozmaitych sztuczek, przed dziesięcioma laty prawie 220.000 Polaków, przeto zadaniem naszem będzie wykazać, jaka krzywda dzieje się temu blizko ćwierćmilionowemu odłamowi naszego narodu ze strony Niemców i Czechów, pod względem politycznym i narodowym*).

Na samym wstępie wypadnie zapytać, dlaczego mimo pięćdziesięcioletnich wysiłków na Śląsku, nasza sprawa narodowa posuwa się bardzo powoli i opornie naprzód, dlaczego mimo stosunkowo bardzo znacznych ofiar pieniężnych naszego społeczeństwa, polskość w Cieszyńskiem się chwieje i wymaga ustawicznej baczności narodowej i wzmożonej ofiarności na cele szkolnictwa? Odpowiedź krótka: Wielki kapitał znajduje się w rękach niemieckich; on zagarnął największe obszary ziemi, on podbił zupełnie przemysł. Niemiec jest prawodawcą i pracodawcą, Polak biernem narzędziem w jego rękach i źle płatnym nieraz robotnikiem.

Prawie połowa całej ziemi Śląska Cieszyńskiego należy do dwóch wielkich obszarników, do arcyks. Fryderyka i hr. Larisch-Mönicha.

„Komora“ arcyksiążęca i urzędnicy hr. Larischa dali się tyle razy we znaki ludności polskiej, tyle o tem pisano w dziennikach krajowych i śląskich, że nie widzimy na razie potrzeby ponownego omawiania tej sprawy. Korzystniej natomiast będzie przypatrzyć się najważniejszym datom statystycznym.

Śląsk Cieszyński posiada cztery powiaty: cieszyński, frysztacki, bielski, frydecki. W roku 1904 utworzono nowy powiat sądowy: Polsko-ostrawski, do którego włączono siedm gmin: Hermanice, Gruszów, Małe Kończyce, Michałkowice, Muglinów, Polską Ostrawę, Radwanice. Wszystkie te gminy wydano Czechom na łup. Jest to groźna przestroga przed zaborczością czeską, a zarazem dowód ich siły i znaczenia w Zagłębiu węglowem Ostrawskiem.

Jak szybko potrafią wynaradawiać Czesi nieuświadomionego robotnika galicyjskiego, otrzymamy dowód z następującego przykładu. W roku 1900 było w czasie spisu ludności w Morawskiej Ostrawie przynależnych do Galicyi 26·6%, a Polaków naliczono tylko 16·3%; zachodzi przeto pytanie, od jakiego czasu zaczęli się w Galicyi rodzić Czesi?

W tym samym roku 1900 przyznało się do narodowości polskiej 218869 (60·9%)
czeskiej 85.553 (23·7%)
niemieckiej 56·240 (15·2%).

Jeżeli zatem na 100 mieszkańców Śląska Cieszyńskiego przypada przeszło 60 Polaków, to godzi się zapytać, czy ta wielka przewaga polska posiada dla należytego rozwoju kulturalnego i narodowego, odpowiednią ilość szkół, urzędów etc.

W pierwszym rzędzie należy wziąć na uwagę szkoły ludowe i wydziałowe, jako podwalinę wszelkiego szkolnictwa wyższego. Otóż na ogół wszystkie prawie szkoły polskie są przeważnie jedno lub dwuklasowe, źle zorganizowane. Jeśli liczą większą ilość klas, natenczas są utrakwistyczne, to znaczy polsko-niemieckie lub polsko-czeskie.

Tak n. p. w powiecie frysztackim jest szkół 29 = 56·86%, podczas gdy ludność polska stanowi 80·38%; w powiecie cieszyńskim 60 szkół = 80%, ale to szkoły jednoklasowe. Na ogół biorąc, przypada u Polaków 1 szkoła ludowa na 1430 ludności,
u Czechów „ „ „ „ 1218 „
u Niemców „ „ „ „ 1283 „

Jeśli jednak zaliczymy szkoły utrakwistyczne do szkół niemieckich, wtedy otrzymamy szkołę ludową niemiecką na 1.092 ludności. Tak przemawia zestawienie suchych cyfr!

Na ogólną ilość ludności polskiej powinno było do szkół polskich uczęszczać w roku 1906 40.370 dzieci, a korzystało z polskiej nauki zaledwie 26.900, przeto 13.470 dzieci polskich pochłonęły w jednym roku szkoły niemieckie i czeskie! Oto przerażające cyfry, jeśli się zwłaszcza weźmie na uwagę, że liczba dzieci w wieku szkolnym powiększa się z roku na rok, a szkół polskich coraz to mniej wobec tego, że różne gminy śląskie starają się o utrakwizacyę, czyli wydają dobrowolnie własne dzieci na łup Niemcom i Czechom.

W r. 1908 było w Cieszyńskiem szkół 320; szkół ludowych publ. 278, wydziałowych publicznych 13, ludowych pryw. 23, wydziałowych prywatnych 3, szkół ćwiczeń 3.

Uczęszczało do szkół	niemieckich	12017	dzieci
„ „ „	czeskich	15.331	„
„ „ „	polskich	26.900	
„ „ „	niem.-pol	8554	„
„ „ „	niem.-czesk.	4397	„

Stąd wniosek prosty, że cyfry przesunęły się jeszcze bardziej na niekorzyść Polaków.

Szkoły utrakwistyczne są najczęściej gorsze od czysto niemieckich, bo wytwarzają indeferentyzm narodowy, zaprzańców i renegatów wszelkiego rodzaju.

Aby dać dokładny obraz szkolnictwa śląskiego z przed dwóch lat, podajemy powyższe tabele

Szkoły polskie	1	klasowe	68 = 77·88%
„ „	2	„	46 = 73·01%
„ „	3	„	21 = 58·61%
„ „	4 i 5	„	18 = 23·68%
„ „	6 i 7	„	— —
Szkoły czeskie	1	klasowe	19 = 21·35%
„ „	2	„	16 = 25·39%
„ „	3	„	7 = 19·50%
„ „	4 i 5	„	20 = 26·31%
Szkoły niemieckie	1	klasowe	1 = 1·12%
„ „	2	„	1 = 1·58%
„ „	3	„	4 = 4·16%
„ „	4 i 5	„	21 = 27·62%
„ „	6 i 7	„	5 = 35·70%

Z powyższego zestawienia przekonywamy się zatem, że w pierwszym rzędzie Polacy, a potem Czesi mają największą ilość szkół 1 i 2 klasowych, to znaczy takich, w których się dziecko najmniej uczy, natomiast najmniejszą ilość więcej klasowych, gdzieby się dziecko najwięcej nauczyć mogło. Garstka Niemców posiada natomiast najwięcej szkół wieloklasowych i znakomicie zorganizowanych.

Przypominamy dla uwydatnienia krzywdy naszej jeszcze raz w procentach trzy narodowości śląskie: Polacy 60·9%, Czesi 23·7%, Niemcy 15·2%.

Jak się przedstawia sprawa ze szkołami wydziałowemi i średnimi?**)

Niemcy posiadali w roku 1906 11 szkół wydziałowych publicz., 3 prywatne, wspierane przez rząd i wydziały gminne; Czesi mieli 2 wydziałowe szkoły publiczne; Polacy uzyskali w roku szkolnym 1909/10 2 szkołę wydziałową w Dąbrowie, w Zagłębiu węglowem, po zażartej, półtora roku trwającej walce. Tu mała tabelka

U Niemców 1 szk. wydz. publ. na 5.112 dzieci
„ Czechów „ „ „ „ „ 42.776 „
„ Polaków „ „ „ „ „ 218.896 „

Czesi uzyskali w ostatnim czasie 4 szkoły wydziałowe, w Polskiej Ostrawie 2, w Michałkowicach i w Orłowej po jednej; wypada przeto u Czechów 1 szkoła wydziałowa publ. na 21.388, u Polaków 1 szkoła wydz. publ. na 218.869 ludności. Oto sprawiedliwość!

Szkoły średnie przedstawiają się w oświetleniu cyfr może jeszcze gorzej.

Niemcy posiadają na Śląsku Cieszyńskim 3 gimnazya: w Bielsku, Cieszynie i Frydku, 1 wyższą szkołę przemysłową w Bielsku, 1 seminaryum nauczycielskie w Cieszynie, 1 prywatne seminaryum męskie w Bielsku, 2 wyższe szkoły realne w Bielsku i w Cieszynie, 1 prywatne seminaryum nauczycielskie żeńskie w Cieszynie. Na samem pograniczu, w Morawskiej Ostrawie posiadają Niemcy c. k. wyższe gimnazyum i c. k. wyższą szkołę realną. U Niemców przypada przeto w Cieszyńskiem 1 szkoła średnia na 6249 ludności.

Polacy uzyskali po wielu latach i ogromnych ofiarach pieniężnych*) 1 wyższe gimnazyum w Cieszynie; obecnie powstało z paralelek seminaryalnych c. k. seminaryum naucz. męskie na Borku, koło Cieszyna, zdobyte znowu wieloletniem kołataniem u rządu i najrozliczniejszymi zabiegami. Przed rokiem otworzyło T. S. L. na spółkę z Macierzą Szkolną śląską pryw. gimnazyum realne w Orłowej.

Jeśli się zważy, że dopiero w roku szkolnym 1907/8 liczba uczniów w gimnazyum polskiem w Cieszynie przekroczyła liczbę 300, to łatwo zrozumiemy, w jaki sposób zdołają Niemcy zapełnić tyle swoich szkół średnich na Śląsku i jaka korzyść urasta z tego dla nich i dla.. Polaków. C. d. n.

Prof. Michał Magiera.

*) Daty, na których się opieramy, pochodzą z dziełka p. Mieczysława Jarosza: „Śląsk Cieszyński“, bardzo źródłowo opracowanego.

*) Macierz szkolna, która utrzymywała gimnazyum polskie w Cieszynie, wydała na nie przed upaństwowieniem w ciągu lat ośmiu 487615 Kor., wliczając koszta gmachu.

**) Pomijamy szkoły średnie czeskie, wobec niedokładnego materyału statystycznego.

PRUSACY W GALICYI.

(Dziennik cieszyński).

W ostatnich tygodniach ukończyli Prusacy, pracujący pod osłoną firmy krajowej „Bialaer Montan-Gesellschaft“ próbne wiercenia na gruntach włościańskich w Przegini duchownej, powiecie sądowym lisieckim (powiat polityczny krakowski). Znaleźli kilka warstw węgla kamiennego, pomiędzy warstwami iłu i kamienia. Najgrubsza warstwa węgla, do której dotarli, wynosi jedenaście metrów grubości. Obecnie mają rozpocząć próbne wiercenia w Porębie na t. zw. „Skowronku“ w powiecie chrzanowskim, w pobliżu granicy powiatu krakowskiego. W poblizkiej Kwaczale (powiat chrzanowski) już poprzednio przeprowadzili próbne wiercenia, które musiały wydać pomyślny rezultat, skoro tam mają w najbliższej przyszłości zakładać szyb w celu wydobywania węgla.

Tak więc ziemia galicyjska staje się skarbem, bogacącym naszych największych wrogów. Niejednokrotnie już zwracaliśmy uwagę na planowe zdobywanie Zachodniej Galicyi przez Prusaków, na zakupowanie ziemi i zakładanie coraz to nowych fabryk i kopalń przez kapitał niemiecki.

Cały powiat chrzanowski należy już właściwie do firm pruskich, a obecnie zamiary zdobywcze Prusaków skierowane są głównie na powiat krakowski. Jak ogromne niebezpieczeństwo grozi nam z tej strony, zrozumieć można, jeżeli się uwzględni, że zagłębie krakowskie zawiera nieprzebrane wprost skarby w swem łonie. Dla Prusaków zajęcie finansowe Zagębia będzie pomostem do ekonomicznego zdobycia Krakowa.

Czy nasze polskie Izby przemysłowe i nasz Sejm nic nie będą dalej jeszcze robić, by powstrzymać falę pruską z Zachodu?

Nie należy zapominać, że w ślad za niemieckim kapitałem przychodzi w najbliższe okolice Krakowa język niemiecki.

Oto, co czytamy w broszurze inż. Franciszka Drobniaka:

„W najstarszych kopalniach galicyjskich w Jaworznie cała administracya w rękach niemieckich, a językiem urzędowym język niemiecki. W kopalniach na Borach, obok Jaworzna, należących do t. zw. „Société anonyme Minière et Industrielle“ dyrektor, inżynierzy i sztygarzy Niemcy; kopalnia ołowianki w Kętach pod Chrzanowem obsadzona wyłącznie Prusakami, taksamo przedsiębiorstwa górniczo-fabryczne Lowitschów w Trzebini, jak i gwarectwo Czerna, oraz huta bieli cynkowej spadkobierców Geschego w Niedzieliskach. W kopalniach t. zw. polskich, to znaczy w galicyjskich zakładach górniczych w Sierszy (właściciel spadkob. ś. p. Andrzeja Potockiego, w części Niederöster.-Eskompt Gesellschaft), oraz w gwarectwie Brzeszcze — urzędnicy w kraju wprawdzie Polacy, ale centralna administracya wyłącznie niemiecka. Chyba te dowody wystarczą, aby największych optymistów przekonać, że już jest źle, a jeszcze gorzej być może!“

Zdaje się, że te słowa jasno tłumaczą położenie i to położenie trudne, bo niemal nie do naprawienia w tem złem, które się już popełniło, a jedynie w postępowaniu naszem dalszem możliwe do złagodzenia, przez silny zaś jedynie wytrwały opór dające się osłabić.

TOWARZYSTWA OŚWIATOWE W ZAGŁĘBIU.

(Tygodnik ostrawski).

Największym powodem masowego czechizowania naszej ludności polskiej w zagłębiu był brak towarzystw polskich, brak ognisk, w którychby się skupiało życie polskie, gdzie w chwilach ciężkich możnaby było czerpać otuchę do walki o najprymitywniejsze prawa kulturalne. W gminach w których istnieją dłużej towarzystwa oświatowe, widzimy żywszy ruch narodowy, w tych też mamy mniej zaprzańców, renegatów. W gminach, w których szkół polskich nie było, przeważnie ludzie grupujący się w kołach oświatowych i czytelniach, byli pierwszymi ich rzecznikami, n. p. w Michałkowicach, Polskiej i Morawskiej Ostrawie i Gruszowie.

Oświatowem towarzystwem na Śląsku do niedawna była „Jedność“ z siedzibą we Frysztacie. Towarzystwo to liczyło trzydzieści kilka oddziałów, rozrzuconych przeważnie w zagłębiu ostrawsko-karwińskiem. Każdy oddział „Jedności“ miał swoją czytelnię, wypożyczalnię książek, urządzał odczyty, przedstawienia amatorskie i t. p. Przed trzema laty po zreorganizowaniu „Macierzy szkolnej“ oddziały „Jedności“ zwinięto, zamieniając je na Koła „Macierzy szkolnej“. Tych Kół według stanu z dnia 31. grudnia 1909 r było w samem zagłębiu ostrawsko-karwińskiem i najbliższej okolicy siedmnaście. Ruch w nich był różny. W tych siedmnastu Kołach „Macierzy“ skupiało się 1229 członków, w bibliotekach było 3005 książek, urządzono 68 odczytów i zgromadzeń oświatowych, 65 przedstawień i obchodów narodowych, obrót kasowy wynosił 8.937 K 18 h. Najruchliwszemi były Koła w Gruszowie, Boguminie, Rychwałdzie i Polskiej Ostrawie. W cyfry powyższe nie wliczono danych z M. Kończyc, Pietwałdu, Stonawy i Zabłocia, ponieważ w gminach tych Koła utworzono właśnie w roku sprawozdawczym.

Towarzystwo Szkoły Ludowej ma w zagłębiu dziewięć szkół, a to po części śląskiej 5, po morawskiej 4. Według stanu z dnia 31. grudnia 1909 w Kołach tych było 544 członków. Koła posiadały 3373 dzieł, urządziły 56 odczytów i zgromadzeń, 70 przedstawień i obchodów narodowych i obracały dochodem w kwocie 11634 K 65 h.

Poza działalnością oświatową zapomocą odczytów, zgromadzeń oświatowych, wypożyczalń książek etc. Koła „Macierzy“ i „T. S. L.“ opiekowały się ubogą dziatwą szkół polskich w swych miejscowościach, zaopatrując ją na zimę w odzież i obuwie, lub też pomagając uczniom szkoły realnej w Orłowej, przez udzielanie zapomóg na tramwaj (n. p. Koła z Pol. Ostrawy).

Najmłodszem towarzystwem oświatowem, o podkładzie politycznym, socyalistycznym, jest Towarzystwo „Siła“. Koła „Siły“ również urządzają odczyty i przedstawienia i posiadają swe księgozbiory. Towarzystwo to zyska sobie zasługi, o ile wydobędzie młodzież socyalistyczną polską z różnych czeskich socyalistycznych towarzystw à la „Lassale“.

Z POD ZABORU PRUSKIEGO.

(Noworoczne życzenia hakatystów. Następca Drzymały. — Skazanie na chorobę).

W wielu gazetach polakożerczych przy omawianiu zeszłorocznych wypadków politycznych potrącono także o sprawę polską. Przedewszystkiem wyrażono ubolewanie nad tem, że dotąd nie zastosowano ustawy o wywłaszczeniu i życzenie, by w roku nowym rozpoczęto wreszcie przemocą wypędzać Polaków z ziemi ojców.

Półurzędowa „Schlesische Zeitung“ widzi w przeglądzie noworocznym już tworzące się niezależne państwo polskie i twierdzi, jak to u hakatystów jest w zwyczaju, że wszędzie towarzystwa polskie, nawet kościelne i śpiewackie pracują jedynie nad odbudowaniem Polski. Ubolewa wszakże „Schlesische Zeitung“, że Polakom tej zdrady stanu udowodnić nie można i wzywa pomocy państwa do walki przeciw polskości. Przedewszystkiem ma państwo napełnić talarami kieszenie polakożercom. Skoro polakożercom rząd talarami i „culagami“ wielkie gęby zatka, „faterland“ odrazu w mniejszem będzie niebezpieczeństwie.

Z uznaniem podnosi „Schlesische Zeitung“, że rząd sprawiedliwie ukarał niemiecko-katolickich urzędników, którzy to w Katowicach przy wyborach do rady miejskiej głosowali także na kandydatów polskich.

Jakże okropnie przedstawia się wobec tej zachłanności polakożerców pruskich stała ustępliwość polska.

A gdyby tak Polacy w odpowiedzi na różne polakożercze zarządzenia pokazali niemcom zęby, to ci niemcy pierwsi protestowaliby przeciw polityce antypolskiej, bo wskutek bojkotu polskiego zamknąć musieliby składy swoje. Protestowaliby tak, jak niemcy i żydzi w Lesznie, gdy ich „ostmarkenferajn“ polecił patryotycznym ziomkom niemieckim.

Drzymała sprzedał ostatecznie swą posiadłość handlarzowi koni Emilowi Conradowi z Berlina.

„Następca Drzymały“ po osiedleniu się „w Kaisertreu“, przekonał się jednak, że władze i jemu potrafią uczynić życie niemiłem. A dlaczego? Żona jego jest katoliczką, polką, a na jej właśnie imię posiadłość została zakupioną. W liście zamieszczonym w liberalnych „Posener Neueste Nachrichten“ opowiada następca Drzymały o swych przygodach w sposób następujący.

Posiadłość Drzymały nabyła żona moja 1-go czerwca roku zeszłego. Na trzeci dzień wręczono jej policyjne zarządzenie, by w przeciągu dni trzech z posiadłości się wyprowadziła, z zagrożeniem 60 marek grzywny albo tygodnia aresztu. Żona moja przedłożyła plany budowy domu mieszkalnego; a wówczas landrat babimojski zawiesił rozporządzenie policyjne aż do czasu, gdy plany zostaną przyjęte. Po pewnym czasie żonie plany zwrócono, a na moje zapytanie u komisarza okręgowego, otrzymałem odpowiedź, że żona moja osobiście u władzy starać się ma o zatwierdzenie planów. Dnia 11-go września otrzymałem następujące pismo: „Podanie o budowę domu w Kaisertrau odrzucam na zasadzie tego, że sprzeciwia się ono celom ustawy z 26-go kwietnia 1886 roku, dotyczącej popierania niemieckich posiadłości w prowincyach Prus zachodnich i Poznańskiej“. Jednocześnie z tem pismem nadeszło rozporządzenie, by i ona w przeciągu dni czternastu, pod zagrożeniem kary 30-tu marek, mieszkanie opuściła. Żona moja była wówczas w poważnym stanie. Na drugi dzień przybył posłaniec powiatowy i żądał podpisu mojej żony, którego jednak nie otrzymał. Po czternastu dniach przybył posłaniec ponowie i znowu domagał się podpisu. Wzbroniłem mu energicznie przystępu, oświadczając, że żona jest chora i przed sześciu tygodniami podpisu nie da. Dnia 17-go października powrócił posłaniec z żandarmem i pięcioma innemi osobami. Wyłamano drzwi mieszkania, wyrzucono wszystkie rzeczy, z których wiele uległo uszkodzeniu. Troje dzieci w wieku od dwóch miesięcy do trzech lat, przez trzy godziny pozostawały na zimnie pod gołem niebem. Rzeczy moje złożono przed domem gminy. Prywatnie udzielono mi wiadomości, że landrat miał oświadczyć, iż nie da pozwolenia na budowę, gdyż żona moja jest katoliczką. W jaki sposób zarządzenia te pogodzić się dadzą z istniejącemi ustawami.

Berliński „bezpartyjny“ dziennik „Der Tag“ zamieścił artykuł, którego autorem jest pułkownik pozasłużbowy, Cardinal von Widdern; dowodzi on, że żądany przez Związek lekarzy niemieckich wolny wybór lekarzy dla członków „Kas chorych“ jest niebezpieczeństwem dla Niemiec, gdyż do kas owych mogliby dostać się lekarze polscy, na co w żaden sposób dozwolić niepodobna.

Lekarz polski przeciętny, zdaniem pana von Widdern, jest niebezpieczniejszym agitatorem, aniżeli adwokat. Wkracza on w rodziny i wywiera zatem wpływ także na kobiety i dorastające dzieci. Kobieta jest najfanatyczniejszą i najwięcej wytrwałą rozsadniczką przeciwniemieckiej propagandy.

Należy więc zabronić lekarzom-Polakom pełnienia obowiązków w Kasach chorych.

Wzgląd, że ludność polska, nie władająca językiem niemieckim, nie może się z lekarzem nie umiejącym po polsku porozumieć, wzgląd, że w lecznictwie niesłychanie ważną rolę odgrywa bezwzględne zaufanie do lekarza, któremu się pacyent oddaje — dla autora owego artykułu nie istnieje zupełnie. Występuje on przeciwko „Stowarzyszeniu lekarzy w Niemczech“, które zajęło stanowisko godne swego zawodu, oświadczając na zjeździe w Monasterze w roku 1907, że „u bram naszej organizacyi zawodowej zniknąć muszą zasadniczo wszelkie polityczne i narodowe różnice“, a dalej, że „w tak poważnej sprawie, jaką jest wolny wybór lekarzy, na frazesy patryotyczne nikt się nie da schwycić“.

Zdawało się, że z ustawą o wywłaszczeniu pomysły hakatystyczne doszły już do zenitu swej potworności. Cardinal von Widdern wskazuje, że nie. Pomysłowość tych „patryotów“ w poszukiwaniu środków „obrony ojczyzny“ przechodzi granice naszych pojęć „niekulturalnych“, w jakich wychowani jesteśmy. Do czego ci „kulturtragerzy“ zdolni — przewidzieć niepodobna.

Prawdopodobnie...

— Bethman — Hollweg powiedział, że się nie uważa wcale za sługę parlamentu.

— A tylko?

— Prawdopodobnie za chłopca od Wilusiowych butów.

Dyabel.

Humor amerykański.

Moskal opowiada murzynowi, że w państwie rosyjskiem słońce nie zachodzi.

Na to murzyn: Widać Pan Bóg źle o Moskalach sądzi, kiedy ich w ciemnościach zostawić nie chce.

Dyabel.

Z POD ZABORU ROSYJSKIEGO.

POLACY NA LITWIE I BIAŁEJ RUSI.

Przez lat czterdzieści kilka przyznać się do miana Polaka na północno-wschodnich naszych kresach było aktem odwagi, zaś zaznaczać uczucia polskie stawało się istnem bohaterstwem.

Nie było instytucji, okoliczności i formy, która by nie tępiła, nie gniotła i nie tłumiła najlżejszego objawu cieplejszych w tym kierunku uczuć.

Nieustanna groźba wisiała nad klasą ludzi, mających wiele do stracenia. Żywioł polski na Litwie i Białej Rusi składa się przeważnie ze szlachty, dzierżącej wielkie obszary ziemi. Ziemia ta, własność ich tradycyjna, warsztat pracy i dźwignia ekonomiczna, stała się też ideowym fortem, którego bronić należało jakim bądź kosztem. Mogła bowiem przejść za lada nieostrożnością bezpowrotnie w obce ręce.

Ten mus nieruchomości ziemi sprowadził musową nieruchomość właścicieli. Dalekie przestrzenie, nieświetny stan dochodów, brak jakichkolwiek łączników kulturalnych w postaci gazet miejscowych lub stowarzyszeń, sprawiał odcięcie od reszty dzielnic polskich litewsko-białoruskich obywateli.

Kontakt z Warszawą był z obydwóch stron słaby. Oczywiście przy nieczęstych sposobnościach jubileuszowo-artystycznych zjeżdżano się na bankiety lub wystawy, ale kończyło się na zamianie szeregu mów, poczem Litwini wracali olśnieni wymową Królewiaków, ci zaś wraz z Galicyanami przypominali sobie, że: „Constitucionel coś pisał o Litwinach".

Przyszedł rok 1905, z nim konstytucja, prawo kupowania ziemi, obudzenie się ducha narodowego z krańca w kraniec i przewroty pojęć. Przedewszystkiem rozpoczęły się spory o nazwy.

Wobec obudzenia się nacjonalizmu litewskiego mieliż się Polacy na Litwie nazywać po dawnemu Litwinami, czy też, nie uznając pojęcia terytorjalnego za równoznaczne z narodowością, Polakami litewskimi? Posypały się określenia rozmaite, w których i oficjalnie przybrana nazwa „tutejszy" znalazła miejsce — ostatecznie jednak w rezultacie, poczucie polskości silniej przemówiło, zwłaszcza na razie, niż się tego można było spodziewać po latach demoralizującej niewoli.

Po pierwszych jednak ogniach zapału, po pierwszych i coraz wzmagających się represjach należało ustalić program działania na dalszą metę. Nie chodziło już o manifestacje lub braterstwo na prawo i na lewo, do czego w chwilach zapału brać szlachecka zawsze skora, ale do pracy wspólnej ze współżyjącymi żywiołami — pracy kulturalnej i ekonomicznej.

Co do pierwszej, pokrótce zaznaczę, że na rdzennej Litwie warstwy ludowe wzięły tę sprawę w swoje ręce. Popierane przez świeżą inteligencję litewską i księży, usuwają żywioł polski z obawy przed polonizacją. Na ogół zaś rozporządzenia rządowe związały ręce obywatelstwu, tłumiąc w samym zarodku dobre w tym kierunku chęci i owocną pracę, prowadzoną przez krótką epokę wolnościową. Wszelkie szkoły, ochrony, zakłady na wsi są bezwarunkowo zamykane, w miastach utrzymują się, żyjąc z dnia na dzień, niepewne jutra.

Do pierwszego też stopnia podejrzane są wobec rządu chęci obywatelstwa w kierunku związków ekonomicznych. Nie tak jednak dalece, by to usprawiedliwiało nieopisane niedołęstwo i stagnację w tej dziedzinie. Zapewne zupełnej łączności interesów większej i mniejszej własności trudno żądać, nigdzie nie stoją stosunki dworu i wsi w idealnej harmonii, ale mało gdzie stoją w tak małej łączności. Wieś dla dworu na Litwie i Białej Rusi jest materjałem roboczym (nb. zmniejszającym się i coraz droższym z powodu emigracji do fabryk) i na tem koniec. Ten zarzut szczególnie dotyczy Białej Rusi — na rdzennej bowiem Litwie (kowieńska gubernia) jest znacznie lepiej i mimo silnie rozwiniętych zobopólnych szowinizmów, na gruncie ekonomicznym istnieje łączność, rokująca dobrą przyszłość.

Bo przecie tylko zupełne krótkowidztwo polityczne może kierować zasklepianiem się w ciasnych interesach swojej sfery i tylko bezgraniczny i wprost nihilistyczny egoizm może natchnąć podobnie cyniczne wypowiedzenie politycznego Credo, jakie (poniekąd w imieniu swojej sfery) wypowiedział w Liście szlachcica Hr. Ig. Milewski ostatniej jesieni.

Programem jego było w dwóch zdaniach: lojalność zupełna i niedraźnienie nikogo żadnym objawem polskości — oraz zupełna obojętność na interesy reszty ludności. Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że w teorji przynajmniej, zdanie to nie jest podzielanem. Żaden żywy organizm nie może istnieć, rozwijać się i wzmacniać, funkcyonując jednostronnie, lub rozbieżnie, tak i społeczeństwo nie może się składać ze szlachty, chcącej żyć bez łączności z warstwami ludowemi. Tylko szczerze demokratyczny program życia ekonomicznego (ponieważ kulturalny ze względów politycznych i różnic językowych albo religijnych jest Polakom utrudniony do niemożliwości), tylko jak najszerzej zastosowane powiązanie swych interesów z interesami włościan i wytworzenie wzajemnej zależności w celu wzmożenia dobrobytu, może ocalić szlachtę polską na Litwie i Białej Rusi. Nie powinni się dać w tem ubiedz licznym wrogom, czyhającym na ich zagładę narodową.

Helena Romer.

Z POLONII AMERYKAŃSKIEJ.

HYMN POLAKÓW W AMERYCE.

(Uznany przez Pierwszy Polski Kongres Narodowy w r. 1910 w Waszyngtonie).
(Słowa utworzył Kazimierz Lubecki, muzykę Stanisław Bursa).

Wiedź, Kościuszko i Pułaski,
Naród swój w przyszłości blaski!
Dość niewoli, hańby dość!
Zbyt się sroży losów złość.
Taki lud, taki wódz
Musi wszystko zmódz!

Rozbiciśmy, piastowice,
W Europie, w Ameryce;
Lecz nas miłość łączy tak,
Że pod jeden stajem Znak!
Taki lud, taki wódz
Musi wszystko zmódz!

Z Polski żar i dziejów mowa,
Z za mórz skarb i dzielność nowa!
Matko, nie płacz, ni się skarż:
Za Kościuszką idziem w marsz!
Taki lud, taki wódz
Musi wszystko zmódz!

Żyj, Ojczyzno, świata chwało!
Cały Naród rusza śmiało!
Białe Orły w piersiach prą,
Przy Kościuszce Orły lśnią!
Taki lud, taki wódz
Musi wszystko zmódz!

KTÓRY POLAK NA OBCZYŹNIE SŁUŻY DOBRZE SWEJ OJCZYŹNIE?

Przed stu czterdziestu laty ówczesne amerykańskie kolonie angielskie nie liczące więcej mieszkańców, niż nasz polski odłam obecnie, postawiwszy zasadę: „bez reprezentacyi niema taksacyi", wypowiedziały tem samem posłuszeństwo Anglii. Rewolucya była gotowa. Przy ogólnym zapale kolonistów z jednej, a zamieszkach europejskich z drugiej strony zdołano z siebie zrzucić znienawidzone jarzmo angielskie i anglikańskie. Dziś potomkowie owych kolonistów są panami tutejszej ziemi i nikt im chyba tego panowania nie odejmie. Późniejsze emigracye z innych narodów służą już tylko, jako czynnik wzmacniający przybyszów angielskich z XVII. i XVIII. stulecia. I jak dotychczas, końca temu nie widać. Pytanie, jaki też nasz stosunek do tutejszego kraju oraz do kraju macierzystego.

I my jesteśmy przeważnie jeszcze kolonistami, chociażby nawet z marką obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Nasze wychowanie, nasze pojęcia, nasza kultura, nasz cały ustrój umysłowy odmienne są od tego, co tu widzimy.

W Słowianinie tkwi inny pierwiastek duchowy, niż w Anglosasie lub w Jankiesie. Stąd trudno nas zaaklimatyzować, trudno nam się dostosować do pojęć, w Stanach Zjednoczonych panujących. Powoli jednak czas i otoczenie robią swoje. Polak, który według Mickiewicza „więcej niźli życie, kocha kraj rodzinny", powoli, ale stale przekształca swe zapatrywania, dawniejsza wiedza zda mu się ciemnotą, chata rodzinna przestaje mu być ponętną, a ci, którzy w niej zostali, obcymi dla niego. I tak z czasem umysłowość polską wypiera blichtr amerykański.

Na co się lat blizko tysiąc składało, ginie w paru pokoleniach, często nawet w przybyszu samym, skoro lat kilkanaście na ziemi obcej pobędzie. Ale co szczerze słowiańskie, szczerze polskie broni się jeszcze zajadle. Stąd one anomalie ujawniające się tak jaskrawo w dziennikarstwie polsko-amerykańskiem, które bezsprzecznie usposabia ten stan nasz przejściowy. Ludzie inteligentni, uczeni nawet, którym zadługo trwa owe przejściowe szamotanie się polonizmu z amerykanizmem, chcieliby jak najprędzej z tem skończyć.

W jednych duch słowiański odruchowo walczy jeszcze przeciw obcej umysłowości; w drugich, słabszych, amerykańskie instytucye naturę słowiańską szkaradnie spaczyły, albo co gorsza, zupełnie zabiły. Jedni, by tem pospieszniej zabić w nas ducha polskiego, radzą, uczą, nakazują jak najprędsze przyjęcie obywatelstwa Stanów Zjednoczonych; uczą i każą się uczyć więcej po angielsku, niż po polsku, więcej rzeczy praktycznych, niż ideowych; drudzy, przejąwszy się całkowicie duchem amerykańskim, zobojętnieli zupełnie dla spraw polskich, odsunęli się absolutnie od owego szamotania, zmagania się polskości z amerykanizmem: dla nich, co polskie, już nie istnieje, bo niema na razie praktycznego znaczenia. Są jeszcze inni, jak w każdem społeczeństwie, którymi samolubstwo, chęć połysku lub zwykły własny interes kieruje. W ojczyźnie nie mieli nic do stracenia, tutaj dorobiwszy się grosza lub stanowiska, zwykłym trybem odwdzięczają się krajowi, któremu swe mienie i polepszenie bytu zawdzięczają, niepomni na to, że więcej tej ziemi dali, niż od niej wzięli. Inni jeszcze, których nazwałbym półgłówkami, odradzają wracać do ziemi ojczystej, odradzają wysyłać grosz zapracowany; inni każdegoby do Ameryki ściągnąć chcieli, bo w tem widzą zaspokojenie swej własnej tęsknoty do ludzi i stron ojczystych.

A więc, powie kto, wychodźtwo polskie dla macierzy, dla Polski stracone? Tak i nie; mówią: na dwoje babka wróżyła. Mnie bowiem w niniejszym dyskursie nie idzie o to, czy emigracja dla Polski stracona, lecz o to który emigrant tu w Ameryce skuteczniej dla Polski pracuje.

Po dłuższem zastanowieniu się przychodzę do podziału emigrantów polskich na trzy kategorje, mianowicie, jedni przybyli z intencją pozostania w Ameryce na zawsze; drudzy przybyli z zamiarem powrotu do stron ojczystych, lecz pobywszy tu dłuższy czas oswajają się z tutejszym sposobem życia i mówią sobie, pozostaniemy tu do śmierci, bo niema po co do kraju wracać. Ci więc wszyscy zrywają nici za sobą i rozpoczynają życie od polskiego odmienne. Wprawdzie od czasu do czasu, przy rozlicznych okazyach duch słowiański wiedzie ich w rodzinne pola, na wezwanie pilniejsze, gotowi nawet ofiarą i poświęceniem Polsce służyć, ale są to ostatnie wysiłki słowiańskiej duszy.

Do trzeciej kategoryi należą ci, którzy przybywszy z zamiarem możliwie prędkiego dorobku swego mienia, wracają do starego kraju. Tacy w odstępach czasu, prawie systematycznie wysyłają zapracowany grosz do ojczyzny, przyczyniając się tem do jej dobrobytu ekonomicznego i społecznego.

Wychodźca polski, w ten sposób, postępujący natrafia na wiele przykrości ze strony niepowołanych opiekunów. Jak często łzy krokodylowe leją ci już na poły zamerykanizowani nad chłopkiem polskim w Ameryce, że, jak w kraju, do kościoła chodzi, że śle pieniądze do swej rodziny lub na jakie zbożne cele, że tu nędznie żyjąc składa grosz do grosza, by nim w strony rodzinne powróciwszy szmat sobie ziemi ojczystej kupić, lub chatynę zbudować, albo co lepsza od żyda lub cudzoziemca ziemię praojców wykupić; inni i na to utyskują, że ten chłop polski w swe pielesze zapatrzony nie raczy się do ich imaginacyjnie wielkich, imaginacyjnie sławnych, imaginacyjnie zasłużonych organizacyj zapisać, wtenczas gdy on wszystkich prawej miłości ojczyzny uczy. Nie blichtrem bowiem, nie połyskiem krasomówstwa makaronicznego, ale prawym czynem daje świadectwo ojczyźnie ze swej ku niej miłości. W nim jest duch słowiański, duch polski, który stroni — od obcego, od niecnego dla niego. On chce polskość ratować na jej własnych śmieciach, chce ojczyźnie służyć w obrębie jej rubieży. Będąc w obcej ziemi tembardziej umiłował swoją i czemprędzej do niej spieszy. Dlatego zachowuje stare cechy, szkoda tylko, że często wraz z narowami.

W swojem zatem przekonaniu, Polak taki w Ameryce najskuteczniej przyczynia się do potęgi swego nieszczęśliwego narodu, który przecież musi kiedyś zerwać swe polityczne pęta. Bo przypuśćmy tylko, że następuje masowy powrót do kraju. Dwa miliony wraca w strony ojczyste z pieniędzmi i doświadczeniem w Ameryce nabytem. Czy podobna nie przypuścić ogromnego w ojczyźnie przewrotu i to przewrotu na dobro i chwałę Polski? Coby się więc w krótkim czasie na wielką skalę stało, dzieje się obecnie na małą skalę powoli za każdorazowym powrotem emigranta w swe ojczyste strony.

Powie kto, ziemie polskie i tak zaludnione, cóż będzie tam chłop polski robił, co będzie robił rzemieślnik, robotnik. Pytanie takie zdradzałoby nieznajomość ziem polskich. Ziemie polskie są tak obszerne i wydajne, iż z łatwością wyżywią stumilionową ludność. Brak tylko po miastach ludzi przedsiębiorczych, brak na roli umiejętnych rolników, do czego niemało przyczyniają się rządy zaborcze, gdyż Polak dążący do podźwignięcia swego kraju, bywa na wszelki sposób krępowany.

Każdy emigrant ze wsi czy miasta, nabywszy nauki i doświadczenia w Ameryce, jest w kraju pożądany z powrotem, bo tu kto na czas dłuższy stracił z oczu ziemię ojców swoich, ten szacowniej cenić ją potrafi. Potrącę tu nieco i o tem, że tak samo kapłani z Ameryki wracając, wielkie usługi czynią ojczyźnie.

Na polu narodowem największej zasługuje się tu ksiądz ten, który błogosławiąc ludowi swemu, każe mu wracać do ojczystej ziemi. Dzięki Bogu, mamy tu jeszcze takich wielu.

Nie ci gorliwiej służą swej ojczyźnie, którzy wszelkimi sposobami starają się zatrzymać wychodźców w Ameryce, nie ci, którzy dla upieczenia swej własnej przytem pieczeni usiłują całym pędem wciągnąć polskiego wychodźcę w wir amerykańskiego życia; nie ci, co płaczem nad upadkiem narodu rozdzierają szaty nad jego niemocą, nieporadnością, nie ci, którzy sami zażywając wygód i konfortu amerykańskiego, życzą tegosamego swym braciom Polakom; nie ci, którzy rozkołysawszy ludzkie namiętności, nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć dokąd dążą: ale ci Polsce wiernie służą, którzy całem umiłowaniem ciągną, jak lotne ptaki, w strony rodzinne. Błogosławieni oni stokroć, bo odziedziczą ziemię — oni cisi a skromni pracownicy dla przyszłości Polski! Wróciwszy do kraju, wyorzą mu dobrobyt.

Emigracya dobrą jest i konieczną, lecz musi mieć granice. I rzeka płynąć ustanie, gdy źródło wyschnie. Naród polski powinien wytężyć swe siły, by dać pracę i chleb milionom rąk. Czas wielki, by Polak siedział na swej roli i bronił tej ziemi przed najazdem obcych ludów!

Dlatego też na obczyźnie najwięcej wartości dla ojczyzny posiada ten, kto skarby nabyte wiezie do ziemi rodzinnej. Chcesz tedy Polaku! ojczyźnie dobrze się przysłużyć, zbierz grosz z wszystkiego co masz, a jedź do kraju, jedź do ziemi ojców naszych. Tam potrzebują twoich sił, twej wiedzy na obcej ziemi nabytej, twego ducha łączności nabytego na wygnaniu. Wieź czerwieńce i talary, żebyś mógł wykupić z rąk obcych twą ziemię, żębyś mógł kraj twój uprzemysłowić tam, gdzie ziemia niewydajna. Ty będziesz wtenczas najpożyteczniejszym członkiem tej wielkiej, ale nieszczęśliwej rodziny polskiej.

Ks. Juliusz Manteuffel.

HAKATYŚCI W PARANIE.

Do walki polsko-niemieckiej w Europie przybędzie walka polsko-niemiecka w południowej Ameryce, a mianowicie w Brazylji. Już od dawna Niemcy noszą się ze stanowczym zamiarem opanowania trzech południowych stanów brazylijskich, a mianowicie: Santa-Kataryny, Rio-Grande-do-Sul i Parany. Właściwie Santa-Kataryną owładnęli już w zupełności, do tego stopnia, że nawet rodowici Brazylianie muszą uczyć się na gwałt języka niemieckiego. Podbój ten nie zadowolił zaborczych instynktów i cała energia niemiecka skierowała się teraz na Rio-Grande-do-Sul. Przed kilku miesiącami, potężny syndykat niemiecki, wspierany prawdopodobnie przez Niemcy europejskie, zakupił w tym właśnie stanie ogromny obszar ziemi, w wielkości Saksonji, Alzacji i Lotaryngji razem wziętych. To małe państwo składa się przeważnie z olbrzymich lasów, przez które przepływa Taquara. Syndykat dzieli nabyty obszar na siedmnaście tysięcy drobnych gospodarstw i buduje jednocześnie linję kolejową, długości stu pięćdziesięciu kilometrów, której zadaniem na przyszłość będzie łączyć nowe kolonje z istniejącemi już osadami w stanie Rio-Grande-do-Sul. Wogóle syndykat zamierza całą emigrację niemiecką zogniskować obecnie w tym jednym stanie, a przedewszystkiem odciągnąć ją od Ameryki północnej, gdzie przecież trudno żywiołowi niemieckiemu uzyskać jakąś zasadniczą przewagę.

W całej południowej Ameryce Polacy stykają się z Niemcami. I oto w stanie Santa-Kataryna na trzysta tysięcy mieszkańców przypada z górą pięć tysięcy Polaków, dla których niebezpieczeństwo germanizacji zwiększa się z dniem każdym. Stan ten, stosunkowo jest tak gęsto zaludniony, że ludność (naturalnie niemiecka) emigruje zeń do innych stanów, zwłaszcza do Rio-Grande-do-Sul, a także i do Parany.

Ponieważ kolonizacja niemiecka prowadzona, jest bardzo systematycznie, można się spodziewać że w przyszłości trzydzieści tysięcy Polaków zamieszkałych w stanie Rio-Grande-do-Sul spotka się prędzej, czy później z nawałą germańską. Zapewne, nim to nastąpi, upłynie jeszcze sporo czasu czas ten jednak upłynąć powinien na przygotowaniu się do walki, która nastąpić musi. Na razie pocieszać się możemy, że olbrzymi ten obszar kraju liczy jeden milion pięćset tysięcy mieszkańców, a więc nie da się prędko zgermanizować. Z drugiej jednak strony pamiętać należy, że liczny zastęp Niemców, zajmujących tam poważne stanowiska ekonomiczne, w znacznym stopniu ułatwiać będzie pracę rodzimego syndykatu.

O Paranę możemy być chwilowo spokojni. Dziesięć tysięcy Niemców tam mieszkających, poważniejszej roli odegrać nie może, a zresztą wszystko zależeć będzie od Polaków, którzy stanowią dwadzieścia pięć procent tamtejszej ludności (dziewięćdziesiąt na trzysta sześćdziesiąt tysięcy). Jeżeli żywiołowi polskiemu w Paranie uda się choć częściowo ująć rządy tego kraju, to Niemcy mogą spotkać się z takim oporem w swojej akcji kolonizacyjnej, że będą musieli z Parany zupełnie zrezygnować. Zapowiedzią tego jest już obecna taktyka, zapomocą której od dłuższego czasu starają się zepsuć w Paranie opinię Polaków. Oto miarodajnym sferom rządowym opowiada się ciągle, że Polacy, to naród zbyt dumny, wiele wymagający, nieposłuszny i buntowniczy. Wielki nacisk kładą „nasi przyjaciele“ i na to, że Polacy myślą o stworzeniu w Paranie państwa polskiego.

Wykorzystano bardzo umiejętnie wszystkie bajki o republice polskiej w Brazylji. Dotychczas jeszcze nie rozumiemy, na jakiej podstawie prawie cała prasa polska zaczęła się rozpisywać szeroko o „republice polskiej“. Te fantastyczne opowieści przedostały się do prasy brazylijskiej i dziś niema prawie ani jednego pisma brazylijskiego, któreby nie alarmowało z tego powodu sfer miarodajnych.

Jeszcze jeden ciekawy epizod z walki polsko-niemieckiej W ostatnich czasach zauważono, że Niemcy w Paranie starają się wejść w bliższy kontakt z Rusinami i obudzić między nimi ruch antypolski.

Z wyjątkiem Santa-Kataryny, zarówno w Paranie, jak w Rio-Grande-do-Sul stanowią większą część ludności, ale pominąć możemy ich zupełnie spokojnie. To ludzie wcale niezdolni do walki o byt. Upadają pod brzemieniem degeneracji fizycznej i umysłowej, nie są w stanie stawić czoła zastępom ludzi o siłach świeżych niezużytych. Srożą się pomiędzy nimi wszelakie zboczenia, zepsucie i choroby. Zarówno lud prosty, jak inteligencja, odznacza się niską kulturą, spodlałymi instynktami. Rozwój umysłowy przeciętnego inteligenta nie przekroczy nigdy przeciętnego rozwoju ośmnasto lub dziewietnasto-letniego młodzieńca z Europy, nic więc dziwnego, że wypierani są wszędzie, na całej linji; w jednem miejscu czynią to Włosi, w innem Niemcy, jeszcze w innem Polacy.

Rząd paktuje z Niemcami. Sprowadza instruktorów niemieckich i wysyła ich na własny koszt do Rio-Grande-do-Sul.

Zresztą najlepsze wyobrażenie da panu następujące przysłowie; „No Brazil todos mandem ninguem obedece e tudo vae bem“ (w Brazylji wszyscy rozkazują, nikt nie słucha, i wszystko idzie dobrze).

A więc w Brazylji, a zwłaszcza w Paranie. o wynarodowieniu Polaków mowy być nie może. Niebezpieczeństwo kryje się gdzieindziej, a mianowicie w systematycznej kolonizacji cudzoziemskiej, zwłaszcza niemieckiej. Podobnie jak Niemcy, i my powinniśmy prowadzić akcyę celową, systematyczną, bo brak uświadomionego celu może nas łatwo narazić na poważne straty narodowe. Dotychczas kolonizacja polska w Paranie była procesem czysto żywiołowym, nieuświadomionym i ślepym, a jednak podziwiać i szanować należy te wielkie biologiczne zdolności naszego chłopa, który, rzucony na pastwę nieznanych warunków, potrafił z największym wysiłkiem stworzyć nową, polską ojczyznę. Bez czczej zarozumiałości stwierdzić można, że chłop polski swemi zdolnościami kolonizacyjnemi przewyższa znacznie nawet tak wytrawnego i kulturalnego kolonizatora, jakim jest chłop niemiecki. Oto zdarza się bardzo często, że w tych samych warunkach, w tej samej miejscowości, skąd uciekł chłop niemiecki, nasz mazur dawał sobie doskonale radę, a nawet po kilku latach grunto przykupywał. Tą fenomenalną zdolność kolonizacyjną naszego chłopa należy wyzyskać przez akcyę systematyczną i dobrze obmyśloną, a wtedy polskie masy ludowe, skupione w potężnych środowiskach, przestaną pracować dla obcych, lecz tworzyć będą bogactwo i kulturę dla siebie samych.

wedle Michała Pankiewicza.

POLACY NA TUŁACZCE.

ROBOTNICY POLSCY W SZWAJCARJI.

Za chlebem zabłąkali się robotnicy polscy i do Szwajcarji. Cyfrę ich obliczają przypuszczalnie na 500. Los obieżysasów szwajcarskich opisuje w „Przeglądzie emigracyjnym“ p T. Kaszubski z Zurychu.

Znienawidzeni przez ludność miejscową jako pracujący za marne wynagrodzenie zwani popularnie Hajbe-Polake (ścierwo-polak) polscy robotnicy wyzyskiwani są równocześnie przez swych pracodawców. Gdy zwykła praca sezonowego robotnika miejscowego wynosi 5 franków dziennie, polski zadawala się płacą $1^1/_2$ — $2^1/_2$ franka. Do tego 25 funtów kartofli, litr mleka i mieszkanie, ale tylko kartofle dochodzą go w postaci właściwej; mieszkanie i mleko dalekiem jest od tego, co ludzie zwykli zwać mieszkaniem i mlekiem.

W umowach zawieranych przez dostawcę robotników polskich — jest nim agent Marti z Kallnachu — zastrzega się, że praca trwa 13 do 15 godzin dziennie, że robotnikowi przez pierwsze 10 tygodni zajęcia strąca się po 5 franków tygodniowo na zabezpieczenie powrotu po skończonym sezonie roboty. Inny punkt powiada, że robotnik za różne przestępstwa, między innemi za „nieposzanowanie przepisów domowych“ może być bezwzględnie wydalony, a wówczas pieniądze, złożone przezeń na gwarancyę kosztów powrotu, przepadają. Owe 50 franków są właściwie tylko kaucyą, jaką pracodawca szwajcarski ściąga dla zapewnienia sobie pewności, że robotnik nie porzuci przedsiębiorcy. Czasami bywa gorzej jeszcze.

„Gdy skończy się ściąganie kaucji, pisze pan Kaszubski, zaczyna się szykanowanie, znęcanie, jawne zrywanie kontraktu. Potęguje się ono w miarę zbliżania terminu odejścia, żeby, przyprowadzony do ostateczności robotnik, „samowolnie“ porzucił „chlebodawcę“, by ten mógł zagarnąć krwawo zapracowane pieniądze. W pewnej cegielni na półtora miesiąca przed upływem kontraktu zmuszono powolnem znęcaniem się do „odejścia“ 7 osób. Od jednego zamachu zagarnął chlebodawca 350 + 210 = 560 franków.

Robotnicy polscy w Szwajcarji pracują częściowo na roli, częściowo zaś w cegielniach, cementowniach i przy robotach ziemnych; kobiety—jako służące po rozmaitych knajpach. Te ostatnie, jakkolwiek mają stały zarobek, narażone są na najgorsze niebezpieczeństwo, na upadek moralny. Robotników rolnych i fabrycznych przedsiębiorcy trzymają jak w niewoli i nikogo do nich nie dopuszczają, a nawet wychodzić im bez nadzoru nie pozwalają.

W Zurychu istnieje Kółko pomocy dla emigrantów polskich sezonowych, z powodu jednak bardzo szczupłych funduszów nie może podjąć szerszej działalności, na razie też ogranicza się do hamowania nadużyć, jakich ofiarą zbyt często padają robotnicy polscy.

Z NASZEGO PRZEMYSŁU i BOJKOTU.

Ankieta akad. koła „Straży Polskiej".

Jak donosiliśmy w jednym z poprzednich numerów *Straży Polskiej* akad. koło „S. P." rozesłało do fabryk polskich w Galicyi ankietę, której celem głównym było zebranie dokładnych i faktycznych danych, tyczących się rozwoju fabryk galicyjskich, tak co do produkcyi jak i co do zbytu. Z nadesłanych odpowiedzi zamieszczamy poniżej parę celniejszych, zaznaczając, że rubrykę tę będziemy się starali utrzymać aż do wyczerpania materyału ankietowego. Równocześnie wzywamy wszystkie fabryki, których odpowiedzi dotąd akad. koło nie posiada, azeby we własnym interesie jaknajrychlej je nadesłały, jak również przeźrocza, o których anki eta wspomina.

Fabryka farb „J. Karmański i Sp." Zwierzyniec pod Krakowem.

Fabryka została założona w 1892 r. przez ś. p. Józefa Karmańskiego, artystę-malarza, do spółki z krakowskim aptekarzem Hellerem. Mieściła się ona w prywatnym mieszkaniu przy ul. Retoryka w jednej ubikacyi, która stanowiła pracownię, ekspedycyę i kancelaryę. Oprócz właściciela pracowało w fabryce na początku 1—2 ludzi. Farby ucierano na jednej maszynce najmniejszego typu, poruszanej ręcznie i sprzedawano nasamprzód w Krakowie, później zaś w kilku większych miastach Galicyi. W pierwszych latach wyrabiano tylko farby olejne w tubach; w kilka lat później rozszerzono fabrykacyę na wyrób farb szkolnych, guziczkowych.

Po przeniesieniu fabryki do Dębnik pod Krakowem ustawiono dalsze maszyny i zaprowadzono popęd motoryczny. Wyroby fabryki torują sobie drogę do Pragi czeskiej, skąd rozchodzą się wkrótce i na prowincyę; poza tem zyskuje fabryka znaczne rynki zbytu w Austryi, Królestwie, Tryeście itd.

W 1904 r. przechodzi fabryka w drodze kupna na obecnych właścicieli i zostaje przeniesiona do własnego budynku na Zwierzyńcu. Z końcem tegoż roku umiera założyciel fabryki ś. p. J. Karmański.

W latach 1905—1909 rozszerzano dotychczasowe i przybierano nowe rynki zbytu. Farby Karmańskiego znane i zaprowadzone są nie tylko w obrębie monarchii Austro-Węgierskiej, lecz rozchodzą się w znacznych ilościach w zagranicy, zwłaszcza w Królestwie, Rosyi, na Bałkanie, we Włoszech itd., gdzie fabryka utrzymuje własnych zastępców.

W 1909 dotychczasowy budynek znacznie rozszerzono i przebudowano w celu rozpoczęcia fabrykacyi atramentów wszelkiego rodzaju, środków do konserwacyi skór, obuwia i czyszczenia metali.

W celu ocenienia wzrostu fabryki podajemy kilka ciekawych danych:

Przestrzeń zajęta pracowniami wynosiła:
metrów kw. 1892/3 20 1905 900 1910 1300.

Powierzchnia walców do ucierania farb:
jednostek 1892/3 1 1905 27 1910 36.

Obrót i sprzedaż:
jednostek 1892/3 1 1901 27 1905 68 1910 110.

Ilość maszyn:
1892/3 1 ręczna 1910 15 mechanicznych.

Ilość zatrudnionych robotników i urzędników:
1892/3 1—2 1905 25—40 1910 55—60.

Zbyt produkcyi:
40% w kraju, reszta w Austro-Węgrzech i zagranicą.

Cennik wydany w 1893 zawiera na 4 stronnicach farby olejne artystyczne; wydany w 1901 zawiera na 24 stronach farby olejne różnych gatunków, płyny malarskie, oraz farby guziczkowe; wydany w 1906 zawiera na 164 stronach farby wszelkiego rodzaju do robót artystycznych i szkolnych, oraz wszelkie przybory malarskie.

Poza tem wydała fabryka dotychczas 17 cenników specyalnych w różnych językach dla potrzeb poszczególnych rynków zbytu.

Fabryka utrzymuje własnych reprezentantów we Lwowie, Warszawie, Pradze, Wiedniu, Tryeście, Bukareszcie, Zofii, Salonice, Medyolanie i Neapolu. Wydaje cenniki i druki w 11 językach, koresponduje wprost w 7 językach. Otrzymała 11 odznaczeń na wystawach oraz kilka tysięcy uznań sfer fachowych o dobroci jej wyrobów.

Obecnie fabryka wyrabia: farby olejne do celów artystycznych, dekoracyjnych i do studyów; płyny malarskie, werniksy; farby wodne artystyczne i do studyów; farby guziczkowe techniczne, Lafondy, Tempera i gwasze; tusze czarne i kolorowe; płynną gumę arabską; atramenty wszelkiego rodzaju, farby i poduszeczki do pieczęci. Przetwory chemiczne do konserwacyi skór (pasty do obuwia), do czyszczenia metali itd. itd.

Fabryka konfekcyi papierowej „S. W. Niemojowski" we Lwowie.

W odpowiedzi na ankietę pisze p. Niemojowski:

W r. 1885 założyłem pierwszą w kraju fabrykę tutek cygaretowych, przedtem artykuł ten sprowadzany był wyłącznie z zagranicy, a za moim przykładem powstało kilka, następnie kilkanaście, obecnie kilkaset tego rodzaju przedsiębiorstw w Galicyi i przedsiębiorstwa te zatrudniają kilkanaście tysięcy robotników, prosperują wszystkie niemal dobrze i nietylko, że w Galicyi nikt innych jak krajowych tutek nie używa, ale artykuł ten fabryki nasze w wielkich ilościach eksportują i tutki galicyjskie mają ustaloną markę na rynkach zagranicznych. Przyznać sobie muszę, że ja stworzyłem tę bardzo poważną gałęź przemysłu.

Przed 8 laty założyłem fabrykę kopert, konfekcyi papierowej i innych wyrobów z papieru. Przedsiębiorstwo to z roku na rok wzrasta, czego dowodem są następujące cyfry:

W pierwszym roku obrót wynosił około 70.000 koron, obecnie zaś wzrósł do blisko 1,000.000 koron.

W fabrykacyi wyrobów z papieru jest mnóstwo działów dotąd nie eksploatowanych, a pokrewnych z moim przedsiębiorstwem, rozszerzenie więc tegoż mogłoby wzróść do wprost olbrzymich rozmiarów, wymagałoby to jednak znacznego powiększenia kapitału zakładowego, a to jednostce trudno jest uskutecznić i dlatego powziąłem myśl przeistoczenia mojego przedsiębiorstwa na Towarzystwo udziałowe lub akcyjne i po Nowym Roku mam zamiar projekt ten urzeczywistnić. O projekcie tym dlatego wspominam, że możeby WPanowie w odczytach swoich uważali za stosowne zachęcić publiczność do subskrybowania pewnych chociażby niewielkich udziałów.

Za granicą a zwłaszcza w Anglii wszystkie niemal przedsiębiorstwa są udziałowe i oparte na wspólnym kapitale i dlatego to tam przemysł się tak szybko rozwija, a udziałowcy mają dobre oprocentowanie.

Wszelkich w tym względzie informacyi udzielać będzie Bank przemysłowy we Lwowie.

W fabryce mojej zatrudnionych jest około 120 robotników i robotnic, a przeszło 40 maszyn, poruszanych siedmioma elektromotorami jest w ruchu. Wyroby moje wysyłam do Ks. Poznańskiego, Królestwa Polskiego, a także w dość pokaźnej ilości do Ameryki i Brazylii.

Senzacyjna rozprawa. Pod tym tytułem pisze „Bojkot" miesięcznik agit.-informacyjny, wychodzący we Lwowie od 1. stycznia br., co następuje: Ogólnie znaną jest dziś rzeczą, że obuwie marki „Salamandra" jest wyrobem pruskim. Stwierdziła to zresztą ostatnia rozprawa, która odbyła się dnia 21. listopada 1910 przeciw słuch. politechniki E. M. oskarżonemu o gwałt publiczny przeciwko firmie obuwia „Salamandra". W styczniu r. 1910, w miesiąc po otwarciu, wybito w tym sklepie szyby i na doniesienie właściciela tegoż Salo Sperlinga prokuratorya wniosła oskarżenie. Jak prowokacyjnem było otworzenie tego składu w chwili, gdy hasło bojkotu wyrobów pruskich rozbrzmiewa po całej Polsce, tak znowu nikczemnem i podłem było doniesienie oparte na steku wyrafinowanych kłamstw i fałszów. Salo Sperling wskazał usłużnej c. k. Policyi Bogu ducha winnego człowieka, podejrzywając go o współwinę w demonstracyi dlatego, że żądał obuwia warszawskiego w sobotę dnia 22. stycznia tj. w przeddzień demonstracyi. Pod krzyżowym ogniem pytań ze strony trybunału, prokuratora i obrońcy oskarżonego p. dra Hlavatego, Salo Sperling i jego adlatus kręcili, przecząc sobie wzajemnie a wreszcie tak ich zamroczyło, że wszystko zapomnieli co było i tylko im się zdawało.

Nie od rzeczy też będzie podkreślić, że c. k. Policya otacza szczególniejszą opieką „pruskich patryotów" w rodzaju Sperlinga. Własnych obywateli mogą okradać, zabijać i t. d., ale policyi wtedy niema, natomiast, gdy Salamandrze coś się stanie, chwyta się ludzi najniewinniejszych, bo tu chodzi o najdroższego przyjaciela z Poczdamu. Wreszcie i władze niemieckie nie zapomniały o Salamandrze i nakazały tutejszej Prokuratoryi wytoczyć rozprawę. — Ostatecznie jednak sprawiedliwość być musi, to też trybunał po 4-godzinnej rozprawie uwolnił oskarżonego od winy i kary. Dla nas jedna z rozprawy wynikła korzyść, oto Salo Sperling zeznał pod przysięgą, że „Salamandra" jest to tow. akc. z siedzibą w Berlinie, a fabryka, z której obuwie sprowadza, mieści się w Kornwestheim koło Stuttgartu. I. Siegle et Comp. (patrz zresztą pismo pruskie „Jugend" r. 1910 nr. 1. ogłoszenie).

Każdy prawy obywatel winien nietylko Ojczyzny swej bronić, ale nawet gdy potrzeba, radośnie śmierć za nią ponieść.

Leon XIII. Papież.

KRONIKA.

Kalendarzyk narodowy.

STYCZEŃ.

1 Narodziny Zygmunta I. 1467 roku
2. Papierz Grzegorz IX. potwierdza nadanie Ziemi Dobrzyńskiej Krzyżakom 1238 r.
3 Deklaracya Austryi i Rosyi do zupełnego rozbioru Polski w 1795 r.
4. Przymierze Katarzyny z Fryderykiem, warujące elekcyę Poniatowskiego 1764 r.
5. Austryacy wkraczają do Krakowa 1796 r.
6. Bolesław, książę mazowiecki, królem w Piotrkowie ogłoszony 1446 r.
7. Sejm konwokacyjny 1570 r.
8. Władysław IV. przybywa pod Smoleńsk 1634 r.
9. Dąbrowski formuje legiony we Włoszech 1797 r.
10. Otwarcie sejmu w Warszawie 1677 r.
11. Jagiełło obrany królem polskim 1386 r.
12 Moskale wkraczają w granice Królestwa Polskiego 1831 r.
13. Prusacy wkraczają do Polski 1793 r.
14 Utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie 1807 r.
15. Pokój z Moskwą w Dywilinie 1619 r.
16 Jan Kazimierz wjeżdża na koronacyę do Krakowa 1648 r.
17. Narodzenie Stanisława Augusta Poniatowskiego 1732 r
18. Pokój z Moskwą w Wilnie w 1509 r.
19 Zamknięcie Rady nieustającej 1789 r.
20. Uroczysty wjazd Zygmunta Augusta I do Krakowa 1507 r.
21. Pierwszy Sejm (prawodawczy) Rzeczypospolitej krakowskiej 1816 r.
22. Wybuch powstania w Królestwie Polskiem 1863 r. i rewolucyi 1905 r.
23. Węgrzy zapraszają na tron Władysława III. 1440 r.
24. Bitwa ze Szwedami pod Grodnem 1706 r.
25. Zwycięstwo Jana Zamojskiego nad Maksymilianem pod Byczyną 1588 r.
26. Koronacya Zygmunta I. 1507 r.
27 Pożar salin w Wieliczce 1510 r.
28. Utworzenie w Paryżu komitetu dla sprawy polskiej 1831 r.
29. Uniwersał Stefana Batorego, urządzający poczty 1583 r.
30 Zjazd monarchów w Krakowie 1363 r.
31 Sprowadzenie zwłok Jana Kazimierza do Krakowa 1676 r.

Nowa Redakcya „Straży Polskiej" uważa sobie za jeden z najpilniejszych obowiązków wynurzyć wdzięczność ustępującemu redaktorowi naczelnemu, p. Kazimierzowi Bartoszewiczowi za dotychczasowe kierownictwo naszego pisma, mającego tak wzniosłe zadania narodowe. On to je utworzył, wyrobił mu znaczenie w społeczeństwie i prowadził nieskalanie według idei polskiej. Po takim przodowniku czystej i wszechstronnej myśli patryotycznej, wyrażanej w „Straży Polskiej", trudną jest rola następcy.

Ufamy jednak, że czerpiąc ze źródeł życia polskiego i goręco miłując Ojczyznę, zdołamy nie obniżyć sztandaru „Straży Polskiej", a owszem, może z czasem rozwijać się będzie coraz szerzej i skupiać coraz liczniejsze zastępy działaczy narodowych.

Program nasz w kierunku swoim, wytyczonym od założenia „Straży Polskiej", żadnej nie ulega zmianie i byłoby zbytecznem obszernie nanowo tutaj powtarzać zamysły założycieli. Kierunkiem tym jest droga ku odrodzeniu Ojczyzny zapomocą tradycyi dziejowych, wieszczych haseł przyszłości, poznania piękności ojczystej, pielęgnowania języka i całej kultury polskiej, rozwoju ekonomicznego, wreszcie zapomocą publicystycznego zwalczania wszelkich wrogów polskości. W tym właśnie kierunku nieustannie iść chcemy, a w miarę sił coraz raźniej i śmielej postępować.

„Straż Polska" niechaj będzie zwierciadłem, odbijającem o ile możności najstaranniej ruch polski z pod wszystkich trzech zaborów, a nawet z „czwartej" dzielnicy" amerykańskiej i zewsząd z obczyzny, skądkolwiek by ważne wieści o naszych rodakach nadpłynęły. Przedewszystkiem jednak „Straż Polska" ma być strażą, ma czuwać nad dobrem narodowem i dbać o jego pomnożenie. Bronić więc będzie i wspomagać to, co na dobie jest najdziel-

niejszą siłą Narodu: a więc obecnie w czasach niedoli, przynajmniej oświatę, jak najszczytniej i najpowszechniej pojętą, — moralność, która życie publiczne czyni zgodnem, czystem, trzeźwem, patryotycznem i wogóle szlachetnem, — gospodarstwo rodzime, tak zaniedbane na roli, w przemyśle i handlu, i tak mało zorganizowane, a które przy wspólnej usilności mogłoby odeprzeć najazd obcych wyzyskiwaczy, przez bojkot osłabić nieprzyjaciół, a przez umiejętną produktywność i obrót wielce zbogacić nasze biedne społeczeństwo. Tę służbę pełnić pragnie dla Ojczyzny „Straż Polska“.

Szata zewnętrzna naszego miesięcznika tak, jako i treść, w zasadzie zostaje tasama, nieco tylko przyozdobiona artystycznie i jaśniej, żywiej ułożona. Chodziło nam o nadanie pismu powabniejszego wyglądu i swobodniejszej lekkości artykułów przy niezmniejszonej ich powadze: będą więc one miały charakter raczej dziennikarski, niż książkowy, i taki też podział typograficzny. Zaczynamy numer czasopisma od podstaw z historyi, wypełniamy sprawami bieżącemi, dotyczącemi Polski, zarówno ogólnie, jak po kronikarsku, a radziśmy też posłuchać uczonych i poetów i snuć nadzieje przyszłości. Nie będzie pewno niepraktycznie, jeżeli wytężające umysł wywody przegrodzimy tu i ówdzie klasycznym aforyzmem, swojskim wierszem albo i szczeropolskim dowcipem.

A te przeróżne tematy i formy wiązać będzie zawsze i ściśle jedyna nić, mocna i złota, nić miłości Ojczyzny. Oby też jak najrychlej zespoliła wszystkie serca polskie na świecie...

Numer dzisiejszy, jako poświęcony uczczeniu powstania styczniowego i jako okazowy na r. 1911, wychodzi w znaczniejszej objętości, niż następne Nra „Straży Polskiej“ wychodzić mają.

Z „Koła Pań“ Straży Polskiej. W sali Rady powiatowej odbyło się walne zgromadzenie Koła pań „Straży Polskiej“, na którem przewodnicząca p. Henryka Starzewska złożyła sprawozdanie z działalności Koła. Ze sprawozdania tego podnieść należy, iż staraniem Koła powstał w bieżącym roku sklep sprzedaży kapeluszy damskich, halek i bluzek wyłącznie wyrobu krajowego. Do kapeluszy użyto pletni krzeszowickich, stojących pod względem jakości na wyżynie konkurencyjnej. Sklep ten cieszył się bardzo wielkiem powodzeniem, czem stwierdzono możność praktycznego zastosowania hasła popierania przemysłu krajowego. Obrót kasowy za czas od 15 kwietnia do 15 lipca 1910 r. wykazywał 24.616 K, a mianowicie w dochodzie 12.434 K, a w rozchodzie 12.182 K. — W bieżącym roku agendy handlowe Koła pań prowadzić będzie p. Barbara Weinerówna, zawodowa modystka przy ul. Mikołajskiej 11, właścicielka salonu „Antonina“.

W obszernej dyskusyi podnoszono, że najwłaściwszą drogą do pracy pozytywnej na terenie popierania krajowych wyrobów jest zakładanie pracowni i warsztatów, dla których nie brak ukwalifikowanych w kraju sił. Wszak corocznie opuszczają scholastykę uczenice z wykształceniem zawodowem, lecz niestety, nie znajdują pomieszczenia. — Dla zrealizowania tej myśli uchwalono następujące rezolucye:

1) Zawiązać towarzystwo udziałowe o charakterze handlowo-przemysłowym dla niesienia pomocy w zakładaniu pracowni na zasadzie ustawy z roku 1873.

2) Utworzyć klub skromnego ubierania się przy zużytkowaniu wyrobów krajowych.

Dotychczasowej przewodniczącej p. Starzewskiej, która przewodnictwo złożyła, wyrażono najwyższe uznanie za jej gorliwą dotychczasową pracę i szczere oddanie się sprawom społecznym.

Nowo wybrany wydział składa się z następujących pań: przewodnicząca p. Lambertowa, zastępczyni przewodniczącej p. Maryewska, sekretarka p. Szybalska, zastępczyni sekretarki p. Wolińska, skarbniczka p. Jaszczurowska, zastępczyni skarbniczki p. Struszkiewiczowa; do wydziału weszły panie: Bednarowa, Łuczkowa, Sędzielowska, Straszewska, Dropiowska, Surzycka, Urslowa, Czerwińska, Świderska, Jakeschówna, Szeligowa i Dawidowska.

Akad. Koło „Straży Polskiej“ zorganizowało sekcyę gospodarczą, której celem jest teoretyczne i praktyczne zapoznanie się ze sprawą organizowania spółek spółdzielczych. Jest to punkt statutu Towarzystwa naszego nie wyzyskany, a jednak jeden z najważniejszych. Trzy są motywy dla których ważną jest kwestyą poznanie tej dziedziny życia społecznego, a co ważniejsze, działanie w tym kierunku. Pierwszy to ten, że jest to jedyny n. p. przy spółkach spożywczych sposób przeprowadzenia bojkotu towarów pruskich. Jak przekonaliśmy się w ciągu swej pracy, kontrola sklepów dobrowolna nie daje wielkich rezultatów. W ten zaś sposób „Straż Polska“ otrzymałaby, stosownie do agitacyi kilka lub więcej sklepów, gdzie mając wpływ przemożny, a przedewszystkiem organizując i stronę handlową, odrazu starałaby się program swój urzeczywistnić. Drugi motyw, to podniesienie dobrobytu, czego nie można nazwać frazesem tylko, bo na to liczne mamy dowody, niestety same obce niemal, prócz bardzo wybitnych poznańskich. Trzeci moment, to ominięcie handlu pośredniczącego, który jak dotąd niestety jest ciągły i w ogromnej większości w rękach niemieckich. Przez podobne praktyczne zapoznanie się z organizowaniem spółek koło wykształci na razie kilku, kilkunastu ludzi pożytecznych, a w dłuższym czasie większą ilość ludzi obznajomionych z handlem, wyrobi zmysł kupiecko-handlowy, czego dotąd nam brak. Dlatego akcyę tą koła akad. „Straży Polskiej“ należy podnieść z uznaniem, byle tylko znalazły się serca z zapałem i ręce chętne do pracy, a praca ich musi wydać najlepsze owoce.

Nowe fabryki. We Lwowie powstała niedawno nowa fabryka wyrobów trykotowych i pończoszkowych, własność hr. Ożarowskiej: wyrabia trykoty, kaftaniki, pończochy i t. p. Fabryka mieści się przy ul. A. Potockiego L. 26.

W Krakowie rozpoczęła swą działalność „I. krajowa fabryka wyrobów gumowych i chemicznych“ Marka Thorna. Na razie wyrabia gumy do ołówków „Krakus“ i „Radical“, bardzo praktyczną kompozycyę gumowo-szmirglową „Ferruginol“ do czyszczenia metali, laki do pieczętowania oraz masę francuską do podłóg.

Pismo „Straży“ do Rady miasta Krakowa. W tych dniach ma być sprzedanym na licytacyi większy teren górniczy w powiecie chrzanowskim, będący dotychczas w rękach polskich. Chcąc uniknąć przejścia tego terenu w ręce niemieckie, zwróciliśmy się do wielu firm polskich w Galicyi i Królestwie Polskiem (między innymi do Rady miejskiej w Krakowie) z powiadomieniem ich o tym fakcie. Mamy nadzieję, że teren ten zostanie uratowany.

Wkładki. Najniższa roczna wkładka członka „Straży Polskiej“ wynosi 4 kor. rocznie.

Statuty i sprawozdania „Straży Polskiej“ wysyłamy na każde żądanie bezpłatnie.

Dary. Na „fundusz bojkotowy“ złożyli: p. Karol Fetter, em. starosta 5 kor. — Andrzej Berliński 3 kor. (podatek Szeregowca).

Na ogólne cele Straży Polskiej złożyli datki: pp.: Jan Zbiegieł z Jaworzna 2 kor., Marya Tymińska ze Lwowa 4 kor. — Halina hr. Mycielska 14 kor. — X. dr. Józef Caputa 50 kor. — Koło Pań „Straży Polskiej“ 50 kor. — Przez ręce X. dra Józefa Caputy 85 kor. 55 h. — X. Władysław Dobrowolski z Nowego Rybia 3 kor. 70 hal., wyjęte z puszki 2 kor. 17 hal. — Jeden z Członków Zarządu Głównego (który nie życzy sobie być wymienionym) ofiarował 12 krzeseł dla lokalu „Straży“. Szlachetnym ofiarodawcom staropolskie „Bóg zapłać“!

OPŁATEK W „STRAŻY POLSKIEJ“.

We czwartek, dnia 5 b. m. odbyła się w Straży Polskiej miła uroczystość „Opłatka“. Było to pierwsze towarzyskie zebranie za czasów istnienia „Straży“, pierwsza sposobność zbiorowego spotkania się i swobodnej wymiany myśli. Nawet bowiem na Walnych Zjazdach zjawiają się wedle statutu tylko Członkowie Zarządu Głównego, Delegaci Kół itp. inni zaś nie mają sposobności do bliższego poznajomienia się i wspólnego zgromadzenia. Toteż mimo okresu feryi świątecznych i dość późnego ogłoszenia „Opłatka“ przybyło o godz. 6tej wiecz. do lokalu Straży liczne grono osób ze wszystkich sfer społecznych; byli przedstawiciele „Almae Matris“, palestry, świata lekarskiego, urzędniczego, nauczycielskiego, literackiego, akademickiego, rękodzielniczego, a zwłaszcza dopisały poważne panie i nadobne panny.

W zastępstwie chorego Prezesa honory domu czynił wiceprezes „Straży Polskiej“ Dr. Lubecki, a z pań prezydentka Koła Pań, p. Lambertowa. Gdy goście podzielilwszy się opłatkiem, zasiedli do postnej uczty, pierwszy przemówił od prezydyum Towarzystwa wiceprezes „Straży Polskiej“ Dr. Grabowski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego i w głębokiej przemowie naszkicował nasze obecne położenie narodowe i stan „Straży Polskiej, podniosłemi słowy nawołując do naśladowania ideałów mickiewiczowskich. Mowa ta, pełna wspaniałych porywów i znakomitych wywodów, przyjęta najszczerszymi oklaskami, wysoko nastroiła umysły zgromadzonych.

Następnie poproszono o przemówienie prezydentkę Lambertową, która mówiła krótko lecz gorąco. Powoływała się na historyę, w której Polki nieraz dawały dowody miłości Ojczyzny, jużto niosąc Jej swe serce w ofierze, jużto poświęcając Jej, co miały najdroższego: swych mężów i synów, a nawet same nieraz stawały na polu walki. Dziś, przynajmniej pracą społeczną starajmy się dowieść, że Ją kochamy. Pracujmyż więc nad podniesieniem oświaty, przemysłu i handlu, a uczynimy Ją materyalnie potężną, a więc silną i niezależną, tylko się łączmy razem!

Dalej zabrał głos imieniem rzemieślników p. Ligęza, który poświęcił szereg serdecznych zdań uczczeniu Bożego Narodzenia i wzywał w myśl religii Chrystusowej do łączenia się braterskiego. Jako abstynent, z uznaniem zaznaczył, iż na stole biesiadnym niema napojów alkoholowych. Zakończył ciepłym zwrotem na cześć Ojczyzny.

Potem przemawiał Dr. Retmański. Mówił, iż praca dla dobra ojczyzny powinna polegać na wzajemnej miłości pracowników na tej niwie. Miłość bowiem jest podstawą bytu narodów. Ona bowiem kazała wielu bohaterom ludzkości jużto ginąć na polu walki w obronie ich ojczyzny, jużto trawić całe życie nad rozwiązaniem zagadnień wiedzy ogólno ludzkiej. Ona to posyłała naszych przodków na pole walki, by walczyli w obronie ideałów naszych i drugich, i zapisała w dziejach takie czyny, jak „Grunwałd“, „Chocim“, „Odsiecz Wiednia“ i t. d.

Upadliśmy samowolnie, bo nie słuchaliśmy głosów, ostrzegających nas przed upadkiem, a nawołujących do pozbycia się wad kardynalnych, które pchnęły nas w przepaść dziejową. Dziś źle się dzieje na każdym kroku. Nie powinniśmy jednak opuszczać rąk w tej nieszczęśliwej dobie, lecz z podniesionem w górę czołem zabrać się do trudnej, długiej, a mozolnej pracy, nad odrodzeniem narodu. Pracę tę mamy rozpocząć od samych siebie. Jeśli tej pracy podejmiemy się w imię miłości, to miejmy nadzieję, że kiedyś po pracy długiej, trwającej może kilka wieków, zajaśnieje nam słońce wolności!

Prezes Koła akademickiego „Straży Polskiej“ p. Rozmarynowicz wygłosił żywe i skromne przemówienie, że goręcej nie potrafi wypowiedzieć tych uczuć miłości Ojczyzny, o której była mowa, tylko zapewnia, że młodzież akademicka łączy się z całem Towarzystwem w pracy w imię drogich nam wszystkim haseł i z tą myślą, że przecież zdoła i swoją cząstką przyczynić się do spełnienia programu, jaki Tow. zakreślony ma w statucie swoim. Może ten program zaobszerny, może zbyt szeroko zakreślony, jak na te zresztą nieliczną garstkę zjednoczoną w „Straży Polskiej“, jednak przy dobrych chęciach można go będzie wykonać! Akad. Koło pragnie być pożytecznem, pragnie wykazać potrzebę swojego istnienia i dlatego poświęca obecnie czas pracy wewnętrznej nad ugruntowaniem podstaw swego bytu, nad oparciem Koła o jakieś realne ogólnego znaczenia zdobycze. Co daj Boże.

Ostatniem przemówieniem było „Kochajmy się“, które wypowiedział radca szkolny prof. Czesław Odrowąż Pieniążek z wyjątkową swadą i polotem wesołej, silnej myśli patryotycznej. Jego mowa stała się kulminacyjnym punktem zebrania i nagrodzona została manifestacyjnie nieustającemi brawami. Obszerniejsze też miejsce należy oddać jej streszczeniu.

„Wszak to opłatek“, — mówił p. Pieniążek — „początek nowego roku, więc radbym wykrzesać z piersi weselsze słowo. Należę do tej generacyi, co śpiewała: „Precz, precz, na bok smutek wszelki!... Nie pomoże narzekanie“, a śpiewała wtedy, gdy w leśnej gęstwinie miała ławę śniegu za poduszkę, a zgniłe liście za przykrycie, gdy czekała moskiewskiej kuli w piersi, lub pętli kozackiej i pochodu w Sybir.

„Dość już długo, dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą:
W czynów stal!“

Czynów się imać, czyny spełniać! Ale czyny spełnia się dzielne i trwałe, gdy wznosim „w górę serca i czoła“, z wiarą, że noc się ciemna rozsłania“. (K. Ujejski). Nie śpiewajmy trenów żałoby, jeno krzepmy się wzajemną do czynów zachętą.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!..
Daj nam dobrymi czynami samych zbawić siebie (Z. Krasiński).

Umieliśmy za ojczyznę umierać, uczmy się żyć dla niej. Umieliśmy za nią i o nią walczyć, uczmy się dla niej pracować, a gdy jej nie wywalczymy, to ją wypracujemy.

A nadzieja świeci tęczowo, że tak będzie. My starzy lękaliśmy się, że młode pokolenie pójdzie ku przyszłości koślawo, bo skwapliwie rozpędzało się ku temu, aby burzyć mu spadło w spuściźnie, a do budowy brało się źle, albo nie brało się wcale. Lęk minął, bo oto z tego pokolenia nie wyrastają nowe zastępy pracowników, a dzielnych, a wiernych ojczystemu sztandarowi. Śród nas wiceprezes Straży, pracownik dzielny, wytrwały, reprezentant młodego pokolenia.

Przed chwilą dzielnie się odezwał reprezentant młodzieży akademickiej i wykazał poważny rejestr tego, co ta młodzież uczciwie zdziałała

Więc nie ma lęku, jest otucha.

A oto z nami liczne grono pań. To siła wielka. One dają zachętę, budzą zapał, bo same przepełnione szlachetnemi chęciami, same z zapałem działają.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie“ modli się Krasiński w „Psalmie dobrej woli“. Jednym z tych darów Bożych są u nas kobiety. Miłość ojczyzny, wiarę w odrodzenie narodu piastują u nas bardziej, niż u innych narodów. One też przewodniczyły często w pracy nad oświatą ludu, w każdej pracy narodowej.

Widzimy w gronie naszem przedstawicieli różnych zawodów, rozmaitej pracy. Profesorowie akademii Jagiellońskiej, adwokaci, lekarze, urzędnicy, kupcy, rękodzielnicy. Jesteśmy tu drobniuchną cząstką całości narodu. A zgodni i ochotni do pracy, do czynu. Tak i w innych gronach pracowników, w innych stowarzyszeniach utworzonych w imię miłości ojczyzny.

Więc otucha jest, że będzie lepiej. Otucha i w tem, że praca łatwiejsza, bo zniknęły przepaście, co dzieliły warstwy narodu. Zasypywać je zaczęła jeszcze konstytucya 3 maja, a zasypywał coraz usilniej cały wiek porozbiorowych dziejów, spełniając testament Polski, niepodległość tracącej. Tym testamentem był duch ustawy z 3 maja. Dłoń uczonego wyciąga się cała i szczerze ku dłoni prostaka; dłoń szlachcica ku dłoni rękodzielnika. Ręka w rękę stoimy dziś w jednym szeregu pracowników, choć każdy pracuje na swój sposób.

Byle mniej słów, mniej narzekań, a więcej roboty! Byle w rozterkach zaściankowych, nie marnował się zapał; byle w rozterkach i zawiściach stronnictw nie marniała energia czynu; byle w chorobie tworzenia coraz liczniej owych stronnictw politycznych, a tworzenia ich nie dla nowych ideałów, jeno dla samych prezesów, nie przepadała uczciwość polityczna; byle w szacherkach i bałamuctwach agitacyjnych nie plamiła się rzetelność.

Niech praca będzie podejmowana tylko z miłości ojczyzny, a nie z miłości własnej, nie z pychy i próżności, niech praca odbywa się w zgodzie i miłości wzajemnej.

„W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę“. Te słowa Mickiewicza miejmy nie w ustach, lecz w duszy.

A wyniknie z działania naszego potęga niespożyta, gdy nie słowa, lecz czyny będą świadczyły, że kochamy ojczyznę, że kochamy się wzajemnie. A szanujmy się wzajem. Nie powinno być wyższych, czy niższych stopni pracy zawodowej, jeno tej pracy rozmaitość. Szanujmy się wzajem, kochajmy się i kochajmy ojczyznę czynami, nie słowem, a stanie się, że „Jeszcze nie nie zginęła“ nie będzie pieśnią, ale dokonanym aktem dziejowym!“

W odpowiedzi na przemowę radcy Pieniążka zadeklamowała z uczuciem p. Bogdanikówna wiersz Asnyka p. t. „Do młodych“. W czasie uroczystości odśpiewali amatorowie kilkanaście kolęd i pastorałek.

Uczestnicy rozeszli się o godzinie 10 wieczór z miłem wspomnieniem chwil pięknie spędzonych w „Straży“ i z życzeniem, aby Zarząd częściej podobne zebrania urządzał, op. Święcone.

Opłatkiem zajmowali się jużto w komitecie przygotowawczym, jużto gospodarząc przy uczcie, z pań: Lambertowa, Bogdanikówna, Jordaensówna, z panów: Dr. Lubecki, Krzyżanowski, Kalinowski, Rozmarynowicz, Lekki, Saloni.

Potraw dostarczyła ku ogólnemu zadowoleniu i po przystępnych cenach firma Aksmana (ul. Floryańska).

ODEZWA

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW i DO PRZYJACIÓŁ „STRAŻY POLSKIEJ“.

Ogromny zapał, z jakim w roku 1907 przystąpiono do założenia „Straży Polskiej“, dobrze świadczył zarówno o usposobieniu ówczesnego społeczeństwa krakowskiego, jak i o przyszłości stowarzyszenia, i dodawał otuchy tym, którzy się tego niełatwego choć bardzo wdzięcznego zadania podjęli. Toteż i rozmach, z jakim się zaraz wzięto do pracy, był wielki, i obiecywał, że jeśli akcya pójdzie w tem tempie dalej, na wyniki nie będzie potrzeba długo czekać i wkrótce — „będzie lepiej“. — Wszyscy obecni na konstytuującem się zgromadzeniu gorzeli entuzyazmem, — i oczami rozradowanego ducha widzieliśmy już owe dziesiątki tysięcy członków, zjednoczonych pod naszym sztandarem, a ożywionych jednym, **polskim**, nie partyjnym duchem, widzieliśmy, jak zgodnie pracują z nami i w najdalsze zakątki kraju niosą nasze hasła

Był to sen. —

Rychła przyszłość okazała już, że mieliśmy tu do czynienia nawet nie ze zwykłym polskim „ogniem słomianym“, lecz poprostu z chwilowym wybuchem temperamentu, podniecongo groźbą ustawy o wywłaszczeniu w Poznańskiem.

Wybuch imponujący, ale bezpłodny.

„Zawrzało, buchnęło — i zgasło“.

I zostało: zniechęcenie, uczucie gorzkie zawodu — popioły.

I zarzutów nie brakło — i rekryminacyj

Pomijamy zarzuty ze strony kupiectwa naszego, podnoszone w odpowiedzi na zamierzoną, w części wdrożoną, akcyę bojkotu towarów pruskich, którą to akcyę uważaliśmy za najkardynalniejsze i najpierwsze zadanie nasze. „Wyście nie fachowi“, mówiono nam, „wy nie rozumiecie tego, co to znaczy zrywać dotychczasowe związki handlowe, nawiązywać inne, szukać nowych dróg, wyrabiać sobie kredyt w obcym dotychczas świecie“ — pomijamy to, bo mimo naszej „niefachowości“ wiemy i przyznajemy, że sprawa to istotnie niełatwa, i z dziś na jutro załatwić się nie da — (nikt zresztą tego nie wymagał) — z drugiej strony jednak wiemy także, że przy dobrej woli, przy odrobinie poświęcenia, a przedewszystkiem przy poczuciu godności narodowej i przy patryotyzmie kupiectwa, które przecież samo zowie się „polskiem“ — dałoby się było to wszystko zrobić.

Mamy tu inne zarzuty na myśli.

Oto inne towarzystwa, równie ideowe i polskie, jak my, podniosły hałas. „Straż Polska“ wdziera się w zakres działania innych towarzystw, „włazi w drogę“ Lidze pomocy przemysłowej, Towarzystwu szkoły ludowej, Sokołowi, Towarzystwu emigracyjnemu. I Bóg wie, jakie inne jeszcze niestworzone rzeczy nam zarzucano, bez cienia słuszności i zupełnie bez podstawy. Broniliśmy się. Twierdziliśmy — i twierdzimy, że ideowe Towarzystwa, to nie spółki przemysłowe, które sobie wyławiają klientów, że konkurencya w ich działaniu nie istnieje, że jeżeli dwa takie towarzystwa do jednego zdążając celu, na jednym i tymsamym spotkają się gościńcu, to ten gościniec, — gościniec pracy narodowej! — jest tak szeroki, że pomieści na sobie bardzo wiele chętnych do działania towarzystw, — że t. zw. konkurencya, to suma działań wszystkich udział biorących, — że wychodzi tylko na dobro sprawy.

Nie pomogło.

Zdawało się należeć do dobrego tonu w Krakowie, o „Straży Polskiej“ nie wspominać; dla prasy codziennej — (z nielicznymi wyjątkami) nie istnieliśmy, mimo zwoływanych wieców, urządzanych wycieczek, zatargów z policyą — społeczeństwo przeszło nad nami do porządku dziennego a rezultat taki, że zamiast bojkotu towarów pruskich, mamy bojkot „Straży Polskiej“.

Tu, w Krakowie, — w „sercu Polski“.

Na prowincyi inaczej. Tam jeszcze są gorące dusze i szlachetne umysły, które często bardzo, przygniecione bolem jakiegoś wydarzenia, — a dzień bieżący całe roje takich wydarzeń mniej lub więcej doniosłych i dokuczliwych na nas wali — do nas się odnoszą z całem zaufaniem, żądając rady i pomocy.

I to właśnie dodaje nam otuchy; bo choć to tylko jednostki, krzepimy się przekonaniem, że jest takich jednostek w kraju moc, i że, gdy się złączą w jedno, gdy się zrzeszą w „Straży Polskiej“, wyrośnie z tego — może na razie nie liczebnie, ale jakościowo — potęga, która pozwoli podjąć zaniechane chwilowo zadania.

Niezwykle pocieszającym objawem jest, że „Polska Liga narodowa“, stanąwszy nam przed rokiem przy boku, wiernie trwa dalej w tym związku, a mając siedzibę swą we Lwowie, baczniejsze będzie mogła mieć oko na wschodnią część kraju, co nam dozwoli skupić się bardziej w naszej, zachodniej.

Nie opuszczamy zatem rąk, nie poddajemy się zwątpieniu, — owszem, oświadczamy, że od programu naszego, ogłoszonego w Nr. 1. *Straży Polskiej* na jotę nie odstępujemy i że wytrwamy na zajętem stanowisku aż do końca. Bo nikt i nic nam przekonania naszego nie wydrze, że stowarzyszenie „Straż Polska“ jest bardzo potrzebne i że wypełnia nader dotkliwą lukę w obecnych zwłaszcza czasach.

Dalecy jesteśmy od wszelkiej megalomanii, — nie zamierzamy stawiać Pelionu na Ossę, — lecz obca nam też mikromania; powtarzamy: zadaniom dnia bieżącego sprostamy z ochoczem zaparciem się siebie, z zupełnem poświęceniem się świętej naszej sprawie publicznej.

„Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?
Iskrą tylko“.

Otóż właśnie. O tę „iskrę“ chodzi. Ją trzeba utrzymywać, dozierać, pilnować, rozdmuchiwać, żeby nie spopielała — żeby na „jutrzejsze“ gromy była gotową.

To uważamy na razie za swe zadanie, i tego wiernie dopełnimy.

Do wydania tej odezwy dała powód zmiana w Prezydyum „Straży Polskiej“, zaszła w listopadzie roku zeszłego. Dotychczasowy, bardzo zasłużony nasz Prezes, zarazem redaktor naszego organu, p. Kazimierz Bartoszewicz, musiał z powodu nadwątlonego zdrowia, — ku wielkiemu naszemu żalowi — ustąpić. Nie tu miejsce, rozwodzić się nad Jego zasługami, — niech jednak będzie pewnym, że nazwisko Jego, nierozerwalnie ze „Strażą Polską“ złączone, przez nas i dalej z najżywszą wdzięcznością i z wielkim szacunkiem wspominane będzie. A mamy nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Prezes:
Klaudy Dębicki.

Wiceprezes: *Dr. Tad. Grabowski.* Wiceprezes: *Dr. Kaz. Lubecki.*

WEZWANIE

DO ZBADANIA POLSKICH BURS RZEMIEŚLNICZYCH.

Usilna praca społeczeństwa polskiego nad swem odrodzeniem nieobjęła jeszcze wielu działów potrzebnych do wszechstronnego rozwoju. Do zaniedbanych dotąd działów należy też doniosłe zadanie wychowania pewnej części młodzieży na dzielnych rzemieślników i przedsiębiorców polskich. Stan rzemieślników samoistnych i przedsiębiorców przemysłowych jest nietylko podporą rodzimego przemysłu naszego, ale też ostoją polskości miast naszych na wschodzie.

Młodzież pracująca w pracowniach rękodzielniczych wychowuje się obecnie w bardzo niekorzystnych warunkach, nieraz w wielkim niedostatku i w niezdrowej atmosferze warsztatu jedynie, bez żadnej opieki własnego społeczeństwa.

Liga Narodowa brak ten spostrzegła i zwraca na to uwagę ogółu, że całe społeczeństwo powinno się gorliwie zająć losem młodzieży rękodzielniczej i zapewnić jej zdrowe pomieszczenie, utrzymanie i pewną opiekę moralną, do czego nadawać się będą szczególniej polskie bursy rękodzielnicze, tworzone w miarę potrzeby i możności w różnych miastach Ziem Polskich.

Do Komitetu burs rękodzielniczych wydelegował Zarząd P. L. N. p. p. J. Neumana, Dra Korytkę, inż. Bartla p. prof. Nowicką, Dra Warmskiego, jakoteż innych członków Wydziału.

Pierwszem zadaniem Komitetu będzie zbieranie odpowiednich funduszów na ten cel; dlategoteż zwracamy się do Was, Rodacy, z prośbą, abyście silnie poparli dążenia nasze w tem ważnem dziele i zasilali fundusz burs rękodzielniczych składkami, zapisami, a gdzie można wprost do zakładania burs tego rodzaju przystąpili.

Datki nadsyłać prosimy do Biura Zarządu Ligi Narodowej we Lwowie, ul. Czarnieckiego L. 3, II. p. dodając uwagę: „na bursy".

Na żądanie wyszle biuro P. L. N. czeki pocztowe w celu udogodnienia wpłaty.

Polska Liga Narodowa.

Wydział naczelny:

Dekańska sekr.	*Gawroński* przew.

Zarząd:

Augustowski sekr	*Hauswald* przew.

Zarząd główny P. L. N. postanowił utworzyć osobny Komitet wykonawczy do załatwiania ważniejszych spraw specyalnych i zaprosił do tego Komitetu pp.: Augustońskiego, Bartla, Broniewskiego, Federskiego, Grzybowskiego, Kranzego, Rutkę i dra Warmskiego.

Następnie wyraził Zarząd życzenie, by osobny „Komitet zabawowy" urządził podobnie jak w r. 1910 jedną lub dwie zabawy na rzecz P. L. N. i na bursy rękodzielnicze, zwłaszcza ze względu na ogromne powodzenie zabaw poprzednich, które umożliwiły Lidze Narodowej utworzenie funduszu na budowę domu własnego.

W sprawie dalszego porozumienia się ze „Strażą Polską" w Krakowie co do wspólności organu „Straż" i kosztów jego utrzymania upoważniono przewodniczącego do wdrożenia odpowiednich kroków.

Zarząd Koła lwowskiego P. L. N. zajął się ważną dla towarzystwa sprawą wynajęcia odpowiedniego lokalu na zebrania członków, wieczory popularne i towarzyskie.

Zebranie tegoroczne P. L. N. poświęcone będą omawianiu szeregu ważnych i pilnych spraw narodowo-społecznych, jak np. sprawa zakładania burs dla młodzieży pracującej w rzemiosłach:

Sprawa drożyzny i ciasnoty mieszkań miejskich;

Odniemczenie Galicyi;

Zasady wychowania narodowego do życia społecznego;

Kształcenie woli i charakteru;

Stosunek Polaków do syonizmu i do sprawy ruskiej;

Narodowość i kosmopolityzm;

Obrona praw naszych na wschodnim okręgu itp.

Zebrania parlamentarne P. L. N. mają szerzyć i pogłębiać świadomość narodową we wszystkich warstwach, ćwiczyć obywateli naszych w tworzeniu sobie samodzielnego a trafnego poglądu na sprawy wielkiej wagi, dać każdemu członkowi Ligi możność wypowiadania swoich zapatrywań, stawiania wniosków, wpływania na opinię publiczną i na tok spraw narodowych.

Wieczory towarzyskie przyczynią się do większego zbliżenia się rodaków należących do różnych stanów, zawodów i stronnictw, a zarazem do znacznego ożywienia samej pracy narodowej i społecznej.

Koło lwowskie zajmie się też zbieraniem funduszów na tworzenie burs rękodzielniczych, celem srawienia oporu napływań obcych, a wrogich nam żywiołów do rzemiosł i przedsiębiorstw w miastach polskich.

Książki, zebrane w roku 1910 staraniem Koła P. L. N. dla czytelni polskich w Ameryce postały już uporządkowane i przygotowane do wysyłki.

Sprawa założenia biura służby polskiej zajmie się bliżej przewodnictwo Koła i wnioski stosowne opracuje.

Składki na „Polskie Bursy Rzemieślnicze". Do 31 grudnia 1910 złożyli w biurze P. L. N. na ten cel pp.: radca Józef Neuman 50 kor., prof. E. Harwath 20 kor., dr. St. Korytko 10 kor., Rawita Gawroński 20 kor., drowa Dekańska 10 kor.

Kwoty powyższe złożono w Gal. Banku zaliczkowym we Lwowie, na książeczce l. 8247.

PLACÓWKI.

Społeczeństwo nasze w walce, a raczej obronie na Śląsku i wschodniej Galicyi, dbało dotychczas bardzo gorliwie tylko o szkoły. Obsadzaniem wolnych miejsc swoimi, czy to w urzędach, czy w zawodach wolnych, niewiele się zajmowano, i to tylko dorywczo: akcyi poważnej nie było. „Straż Polska" chcąc uzupełnić tę wielką lukę w naszej działalności społecznej, zaprowadza w swym organie stałą rubrykę „placówek". Członków, abonentów i przyjaciół „Straży Polskiej" prosimy o nadsyłanie korespondencyi do tego działu.

Obecnie należałoby obsadzić niżej podane miejsca Polakami.

W jednem z większych miast wschodniej Galicyi jest do sprzedania bardzo rentowna księgarnia i skład papieru. Jest to jedyna księgarnia w tej miejscowości. Właściciel zmuszony jest ją sprzedać z powodu ciężkiej choroby; żąda za nią 22.000 koron. Jest niebezpieczeństwo, że o ile nie kupi jej Polak, dostanie się w ręce Rusinów.

Również we wschodniej Galicyi jest do nabycia wielka parowa stolarnia. Nabyta na licytacyi przez jeden z naszych banków, ma być sprzedaną z wolnej ręki, gdyż bank ten nie może jej sam prowadzić. Chcą ją kupić Niemcy.

W Suchej Średniej na Śląsku austryackim jest korzystne miejsce dla lekarza w tamtejszej „Kasie brackiej". Również potrzeba lekarza-Polaka w Skoczowie.

W Błędowicach Dolnych znajdzie korzystne pole dla swego zawodu Polak-budowniczy, z małym choćby majątkiem. Sąsiednie gminne kasy pożyczkowe (polskie) poprą go chętnie finansowo.

Bliższych wiadomości udzieli chętnie Zarząd główny „Straży Polskiej" (od 3 do 6 popołudniu).

Introligatornia, fachowo prowadzona, może mieć zapewnione powodzenie w Mielcu. Nowo otworzona w tem mieście drukarnia ma zawsze dużo robót dla introligatora. Miejscowy introligator, izraelita, nie ma pojęcia o najzwyczajniejszem nawet wykończeniu, a więc wszystko odsyłać trzeba daleko do Rzeszowa. W Mielcu jest gimnazyum i wiele instytucyi rządowych i prywatnych. Objaśnień udzieli drukarnia Fiałkowskiego i Chmielewskiego w Mielcu (Galicya).

Poszukuje się kilku drobnych udziałowców (1000—8000 kor.) do założenia dwóch małych fabryk przedmiotów, dotychczas w kraju nie wyrabianych. Zgłoszenia przyjmujemy codziennie między 6 — 7 wieczorem.

Fabryka papieru i bibułki cygaretowej Z. Weisera w Sassowie koło Złoczowa zawiadamia nas, że udało się jej pozyskać dla swych wyrobów znaną fabrykę tutek Rudolfa Herliczki w Krakowie. Będzie to więc wielki postęp w popieraniu swoich fabryk, firma bowiem R. Herliczka cieszy się olbrzymim zbytem nie tylko w Galicyi, ale i poza jej granicami.

KĄCIK JĘZYKOWY.

List od Gramatyki Polskiej.

Najuprzejmiej upraszam Szanowną Prasę o łaskawe uświadomienie mię co do tego, kim jest właściwie według Niej ów pan „Chopin", o którym Szanowna Prasa obecnie tak często nadmienia?

Dziwi mię bardzo, że nacisk, tak gorliwie kładziony na obcość tego nazwiska, nie pociąga za sobą konsekwencyi pisania go w polskiej deklinacyi z apostrofami: Chopin'a, Chopin'owi, Chopin'em albowiem skutkiem tego zaniedbania, osoby, z wymawianiem francuskiem nie dość obeznane, muszą ten wyraz czytać ze swojska, w taki sposób, że pierwsza jego zgłoska brzmi jak początek *cho*-lery, lub *cho*-monta, a druga jak koniec Pe *pina*, albo Stoły-*pina*... Co zaś do znających się na francuskiem wymawianiu, ci powinniby czytać owo „Chopin" — *Szopę*, lecz wcale nie tak, jak ono brzmi w dawno utartem, a od niedawna niewiadomo dlaczego zarzuconem spolszczeniu: *Szopen*.

Konia z rzędem — a przynajmniej parę egzemplarzy Małeckiego lub Boczylińskiego temu, kto racyonalnie wytłumaczy powód tego zarzucenia! Boć przecie niepodobna brać na seryo owej racyi, jakoby trzeba nazwisko pisać tak, jak się sam jego nosiciel podpisywał. Wszak idąc z duchem naszego języka spolszczyliśmy nietylko Szekspirów, Szyllerów, Wolterów, ale nawet Szerloków; zaś ów nawrot, propagowany przez *Chopin'istów*, powinienby ich w logicznem skojarzeniu doprowadzić do tego, aby pisali także „Copernicus", ponieważ ksiądz kanonik warmiński tak się z łacińska podpisywał.

Ufam, że Szanowna Prasa zechce uwzględnić niniejszą interpelacyę — wyjaśni czytającej publiczności powód, dla którego w ten sposób operuje ojczystym językiem.

Pozostaję z niezmiennym szacunkiem —

Szczerze życzliwa
Gramatyka Polska.

Przegląd piśmiennictwa.

Bogdanik Józef Dr, prymaryusz. **„Kult piękności i zdrowia"**. Kraków — Warszawa 1910. Temat, bardzo mało u nas poruszony, tutaj starannie i wszechstronnie opracowany: o pielęgnowaniu skóry, włosów, jamy ustnej i zębów, oczu, dalej o masażu, elektryzowaniu, roentgenizacyi, o zabawach i sportach. Liczne ilustracye. Wydanie dla lekarzy i inteligencyi; skrócone wydanie popularne (1 kor.)

Bolesławicz **„Dworek pod lasem"** epizod z powstania styczniowego. Lwów 1910. Znakomite dla scen amatorskich włościańskich i miejskich. Wydane przez „Związek teatrów i chórów włościańskich" (Lwów, ul. Ossolińskich 12). 80 hal.

Chybiński Adolf Dr. **„Materyały do dziejów król. kapeli rorantystów na Wawelu"**. Kraków, 1910. Wyborna monografia o nieznanej dotychczas, a świetnej w XVI i XVII wieku działalności kollegium muzycznego przy katedrze krakowskiej. Praca źródłowa. Interesująca dla wszystkich miłośników muzyki i historyi polskiej.

Grabowski Tad. Dr. prof. **„Filozofia Słowackiego"**, Kraków 1910. Wydawnictwo „Tow. Filozoficznego" w Krakowie. Celna to prelekcya o filozoficznych myślach genialnego poety, który i w dziedzinie filozofii orle loty rozwijał. Rozprawka ozdobiona prześliczną, barwną plakietą popiersia Słowackiego. Cena 1 kor.

Limanowski Bolesław. **Stanisław Worcell.** Kraków b. r. stron IX i 417. — Nazwisko autora zbyt jest znanem wykształconemu ogółowi, by potrzeba o niem wspominać. Organ naszego Towarzystwa stoi nad stronnictwami, strzeże tylko interesów polskich bez względu na opinie indywidualne i stronnicze. Z niezmierną ciekawością wzięliśmy tedy do ręki książkę wybitnego polskiego socyalisty, który dał literaturze monografię o Worcellu. W dzieciństwie już nauczyliśmy się cenić wysiłki ludzi, którzy kochając kraj rodzinny, szli w nędzy i poniewierce służyć mu długie lata na emigracyi. Ze wzruszeniem odczytujemy też historyę losów jednego z nich, gdyż ona uzupełnia nam naszą wiedzę o tych rzeczach. Stronnicza monografia Gedona o pierwszych latach emigracyi dopełnia się tu wiadomościami o rozwoju stronnictwa demokratycznego. Widzimy narodziny socyalizmu, rozumiemy zależność jego od poglądów Saint-Simona, wnikamy w samo wnętrze ruchu idei krążących po głowach naszych wygnańców. Rola Lelewela w tym czasie wyjaśnia się teraz lepiej, również ewolucye demokracyi od nacyonalizmu do uniwersalizmu. Autor ocenia swego bohatera spokojnie, nie ukrywa jego wad, podnosi jego zalety, pokazuje znaczenie demokracyi w rozwoju ówczesnych wypadków. Zamykamy książkę z uczuciem prawdziwego uznania dla sędziwego bojownika idei i wybitnego pisarza obozu, który w Worcelu ma wzór, jak miłość ludzkości należy godzić z miłością ojczyzny. *T. Grabowski.*

Mrok Wiesław **„Podmiotowość a przedmiotowość"**. (Samojedyność — Rzeczywistość czy doznania? — Próba zgody). Kraków 1910. Treściwe, pełne śmiałych poglądów, studyum o zasadniczych zagadnieniach filozoficznego poznania. Skład główny w księgarni Friedleina. Cena 1 kor.

Neumannowa Anna **„Chrzest w ogniu"**, obraz dramatyczny w 1 akcie. Lwów 1910. Wzruszające przedstawienie męczeństwa unitów podlaskich. Wydane przez „Związek teatrów i chórów włościańskich" (Lwów, ul. Ossolińskich 12). 80 hal

„Obrońca zwierząt", rocznik za 1910 r. wyd. Krakowskiego Tow. Opieki nad zwierzętami. Bardzo cenny przyczynek kulturalny, łagodzący współczesne obyczaje. Zawiera antologię poetów polskich w sprawie obrony zwierząt; prace E. Biedera, kardynała Donneta, J. Drozdowskiego, L. Kieszkowskiej, M. i R. Kukawskich, Dra K. Lubeckiego, F. Polaka, Dra H. Salomona, J. Strokowej, ks. J. Walickiego, prof. Dra M. Zdziechowskiego i wielu innych. Artystyczne ilustracye. W ajencyi czasopism Hopcasa i Salomonowej (ul. Sławkowska 2). Cena 2 kor.

„Oświata Ludowa", rocznik za 1910 r., organ Krakowskiego Tow. Oświaty ludowej, najstarszego stowarzyszenia oświatowego w Polsce, działającego w duchu katolickim i narodowym. Poważne artykuły St. Jasińskiego, Dra K. Lubeckiego, Ks. A Mytkowicza, J. Puchałki, A. Skrzyneckiego, Dra St. Tomkowicza, Dra B. Wicherkiewicza; przegląd szczegółowy działalności tego zasłużonego Towarzystwa. Ilustracye na Grunwald. W biurze Tow. Oświaty Lud (Kraków, Kanonicza 19 I p.). 1 kor.

Tretiak Józef: **Bohdan Zaleski** do upadku powstania listopadowego. Kraków 1911 stron VIII i 500. — Nim pismo nasze zdobędzie się na obszerny rozbiór dzieła znakomitego profesora Jagiellońskiego Uniwersytetu, wypada już dziś zaznaczyć, że jest ono jednem z najdonioślejszych usiłowań na polu monograficznego badania przeszłości literatury, którą rozpoczął przed pół wiekiem prawie Małecki. Autor oparł życiorys i rozbiór dzieł ukraińskiego słowika na szerokiem tle ówczesnych literackich dziejów, skreślił rodzaj ukrainizmu poety, wykazał wpływ pieśni ludowej ukraińskiej i romantyki niemieckiej na pajęczą przędzę jego liryki i epiki. Szczegółowo zajął się stosunkiem poety do Goszczyńskiego i Grabowskiego, nie zapomniał o jego związku z Brodzińskim, pokazał nam świat mało znany i zapomniany przez współczesnych. Odzyskujemy go teraz dzięki świetnemu jego odczuciu w dziele, które celuje nie tylko wiedzą, metodą, dojrzałością sądu ale i stylem barwnym i dyszącym życiem. Autor doprowadził swą rzecz do czasów powstania listopadowego, życzymy mu, by dokończył jej najrychlej na chwałę nauki polskiej i własną. *T. Grabowski.*

Odpowiedzialny redaktor **Kazimierz Brachowski**. Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.